



Janusz Koniusz

Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XIX Nr 3(211) Zelów, marzec 2014

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Kazimierza Ivosse, Janusza Koniusza, Adama Lewandowskiego, Moniki Maciejczyk, Krystyny Rodowskiej

Andrzej Dębowski – *O kłamstwie życia społecznego*

Leszek Żuliński – *Nie wypuszczę*

Józef Baran – *Przystanek marzenie*

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia codzienności*

prof. Ignacy S. Fiut – *Krawiecka robota poety*

Kazimierz Ivosse – *Za czym kolejka ta stoi?*

Andrzej Bartyński – *Bezwiór*

Igor Wieczork – *Strach przed ironią*

Stafan Jurkowski – *Wiosna i poezja oraz Chwała i grzech istnienia*

Joanna Ratajczak – *Grzeczny banat*

Andrzej Walter – *Nieznane jutro poszukiwaczy słów*

Anna Irena Falandysz – *Śniadnie z Lolobrygidą (1)*

Stanisław Grabowski – *O VI słowiańskim festiwalu słów parę*

Emil Biela – *Pół wieku poetyckiej wierności oraz Jeden rok z życia pisarza*

Wojciech Wojciechowski – *Zabawy z przemijaniem*

Tadeusz Zawadowski – *Biblia dla niewierzących polityków*

Andrzej Gnarowski – *Ryszarda Ulickiego rozmowy egzystencjalne*

Wydarzenia

Informacje, Kronika

Zapowiedzi

Opinie

Noty

Poglądy

Konkursy

Witryna



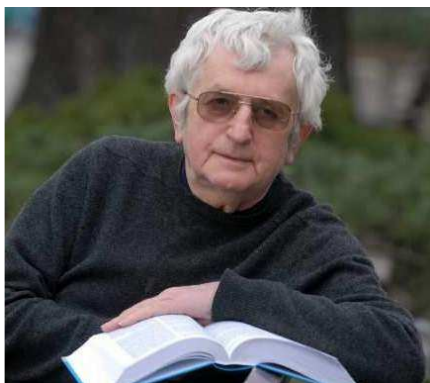
Z cyklu: „Pejzaże polskie”

Foto: Andrzej Dębowski

Kronika

16 lutego zmarła Irena Sławińska (Hu Peifang). Pisarka, publicystka, tłumaczka chińska. Od przeszło pół wieku mieszkała w Polsce, która stała się drugą jej ojczyzną. Była wielką ambasadorką kultury chińskiej w Polsce i polskiej w Chinach. Należała do Związku Literatów Polskich.

Janusz Koniusz, poeta, prozaik, dramaturg, publicysta skończył 80 lat. Urodził się 1 lutego 1934 roku w Sosnowcu. Ukończył studia polonistyczne na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Od dziesięcioleci związany z Zieloną Górą, gdzie mieszka i pracuje. Honorowy obywatel miasta (2004). Współorganizator i długoletni sekretarz Lubuskiego Towarzystwa Kultury w Zielonej Górze. Współzałożyciel, kierownik literacki i redaktor naczelny (nieistniejącego już) czasopisma „Nadodrze”.



Janusz Koniusz

Opublikował kilkanaście tomików poezji, kilka zbiorów opowiadań i słuchowisk radiowych. Jest autorem dwóch książek, w których opisuje swoje kontakty ze znanymi pisarzami i poetami (m.in. Władysławem Broniewskim i Julianem Przybosiem: „Kamień z serca” i „Wiązania pamięci”. Autor spektaklu telewizyjnego „Czwartek” (1977).

Zmarła Nina Andrycz, wybitna, legendarna aktorka teatralna i filmowa, na deskach Teatru Polskiego w Warszawie twórczyni ponad stu ról. Prywatnie żona premiera PRL, Józefa Cyrankiewicza. Publikowała także tomy wierszy i książki wspomnieniowe. Miała 101 lat.



Fot. Grzegorz Błażejczyk/BE&W

Nina Andrycz

Krzysztof Czyżewski, pisarz, eseista, współtwórca Ośrodka Pogranicze w Sejnach oraz Międzynarodowego Centrum Dialogu w Krasnogrodzie, otrzymał prestiżową nagrodę Dań David Prize, przyznaną na Uniwersytecie w Tel Awiwie (za osiągnięcia w nauce, sztuce i działalności społecznej) w kategoriach „przeszłość”, „teraźniejszość” i „przyszłość”. Czyżewski – jak pisze jury: „zaangażowany intelektualista i działacz społeczny, który poświęcił się pracy nad włączeniem polskiej pamięci w tworzenie silnego społeczeństwa obywatelskiego we współczesnym świecie, zdolnego zgłębić skomplikowaną przeszłość i połączyć ją z budowaniem teraźniejszości i fundamentów przyszłości” – uhonorowany został w kategorii „przeszłość” wraz z historykami Pierreem Norą i Saulem Friedlandererjri, dzieląc się z nimi pulą miliona dolarów. Wśród wcześniejszych laureatów wyróżnienia byli m.in. Peter Brook, Margaret Atwood, Amoz Oz czy Adam Michnik, zaś ceremonia wręczenia tegorocznej nagrody odbędzie się 18 maja w Tel Awiwie.

Złotego Niedźwiedzia na 64. Festiwalu Filmowym w Berlinie otrzymał thriller „Czarny węgiel, cienki lód” w reżyserii Diaa Yinana. Werdykt jury wzbudził kontrowersje, krytycy podkreślali bowiem większe zalety laureata Srebrnego Niedźwiedzia oraz wielkiej nagrody jury – „The Grand Budapest Hotel” Wesa Andersena, a także – uhonorowanego co prawda nagrodą dla reżysera – „Boyhood” Richarda Linklatera, do którego zdjęcia powstawały przez... 12 lat.

Laureatem przyznawanej w Łodzi Nagrody im. Katarzyny Kobro został Cezary Bodzianowski, najbardziej znany z akcji (czy: aranżacji) artystycznych dokonywanych w przestrzeniach publicznych. Zdaniem rady nagrody, akcje te „zmieniają ustalony porządek rzeczy, choć wiele z nich nie pozostawia śladu z wyjątkiem niekontrolowanych i swobodnych memów, opowieści i legend.

W krakowskim muzeum sztuki współczesnej MOCAK trwa retrospektywa twórczości **Władysława Hasióra,** obejmująca około stu prac artysty z lat 1956-1986, a także jego zdjęcia oraz poświęcone mu filmy dokumentalne. Więcej informacji: www.mocak.pl.

Konkursy

II Ogólnopolski Konkurs Poetycki „O Antałek Miodówki”

Urząd Gminy i Gminny Ośrodek Kultury w Dębnie Kaszubskiej zapraszają do udziału w konkursie poetyckim na zestaw wierszy miłosnych.

1. Konkurs ma charakter otwarty, mogą w nim wziąć udział zarówno poeci niezrzeszeni, jak i zrzeszeni w związkach twórczych.
2. Należy nadesłać zestaw 4 wierszy o tematyce miłosnej, nienagradzanych w innych konkursach, niepublikowanych w wydawnic-

twach zwartych, prasie i w internecie.

3. Nadesłane wiersze powinny być w 4 egzemplarzach, w wydruku maszynowym lub komputerowym, w formacie A-4, podpisane godłem (słownym, nie znakiem graficznym).
4. To samo godło powinno widnieć na drugiej zaklejonej kopercie zawierającej dane autora: imię i nazwisko, adres, nr telefonu, adres poczty elektronicznej.
5. Termin nadsyłania zestawów: 15 maja 2014 roku (liczy się data stempla pocztowego) na adres: Gminny Ośrodek Kultury, ul. Zjednoczenia 55, 76-248 Dębica Kaszubska, z dopiskiem „Antałek”.
6. Profesjonalne jury przyzna następujące nagrody:
 - * I nagroda 1000zł plus „Antałek miodówki”;
 - * II nagroda 800 zł;
 - * III nagroda 600 zł;
 - * Jedno wyróżnienie – 500 zł;
 - * Dwa wyróżnienia po 400 zł dla młodych twórców. (Prosimy o zaznaczenie przy godle literką M tych poetów, którzy do 15 maja 2014 roku nie skończą 20 lat);
 - * Jedno wyróżnienie 300 zł dla twórcy z Pomorza. (Tu prosimy o literkę P przy godle).
7. Organizatorzy zapewniają laureatom nocleg i uroczystą kolację w dniu wręczenia nagród. Wręczenie nagród jest przewidziane w sobotę 21 lub 28 czerwca 2014 roku.
8. Nagrody należy odebrać osobiście. W uzasadnionych przypadkach przez osobę upoważnioną. Nagród nie wysyłamy pocztą.
9. Nieodebrana nagroda przechodzi na rok następny jako „Nagroda specjalna”.
10. Laureata pierwszej nagrody obejmuje roczna karencja od udziału w następnej edycji.
11. Każdy uczestnik może przysłać tylko jeden zestaw wierszy.
12. Uczestnik konkursu automatycznie wyraża zgodę na publikację nagrodzonych wierszy w pismach literackich, prasie lokalnej i na stronach internetowych organizatorów.

Ewentualne pytania prosimy kierować drogą elektroniczną na adres: jerzy-fryckowski@wp.pl

Kultura regionu

Joanna Ratajczak

Grzeczny banał

Analiza sztuki współczesnej jako problem dla nauczyciela

1.

Jakiś czas temu obejrzałam wraz z młodzieżą wystawę, która stała się dla mnie pretekstem do napisania tego szkicu. Zaczęę jednak od paru refleksji ogólnych.

Jestem oto nauczycielem wok-u w liceum ogólnokształcącym. Od lat prowadzę w galeriach artystycznych zajęcia dla młodzieży, zainteresowanej poszerzaniem wiedzy o sztuce. Sądzę bowiem, że jej analiza (zwłaszcza sztuki współczesnej) jest trudnym zadaniem dla polskiego nauczyciela. Podstawa programowa, co prawda, zachęca nas do jej dokonywania; instytucje kultury również. Niestety, nauczyciele nie zawsze widzą jak to robić. Brakuje im czasu na studiowanie literatury fachowej, oglądanie aktualnych wystaw itd.. Sprawia to, że wolą prowadzić standardowe lekcje w szkole, a wyjścia do galerii traktują jako fanaberie. Nieliczni zaś pasjonaci to wciąż za mało.

Sama zresztą zastanawiam się coraz częściej: na jak długo jeszcze starczy mi zapału. Kiedyś zabierałam do galerii całe klasy, dziś prowadzę takie zajęcia tylko w ramach projektów i zajęć otwartych. A na nie przychodzą wyłącznie zainteresowani uczniowie. Jako nauczyciel staram się wszakże dobrze przygotować młodego człowieka do odbioru sztuki współczesnej, otworzyć jego umysł i zachęcać do samodzielnej analizy, a nie powielania gotowych i znanych sądów.

Moja metoda pracy jest prosta. Po przyjęściu do galerii oglądamy wnikliwie ekspozycję i szukamy prac, które wydają nam się znaczące, następnie poddajemy je wspólnej analizie. Najpierw wypowiadają się oni potem ja. Staram się wtedy umieścić omawiane dzieła w kontekście kulturowym, artystycznym i społeczno-historycznym.

2.

A teraz pora na konkrety, z których płynie pewne przesłanie ogólne. Oto w grudniu 2013 r. w Galerii Sztuki BWA w Jeleniej Górze zaprezentowano drugą („objazdową”, bo pokazywaną w wielu ośrodkach) odsłonę wystawy zbiorowej pt. „Dzień jest za krótki (kilka opowieści autobiograficznych)”. Wzięło w niej udział wielu artystów (27 nazwisk w katalogu). Głównym organizatorem tego przedsięwzięcia był Ośrodek Kultury i Sztuki we Wrocławiu. Zaczęła całkiem niezłe: od stolicy Dolnego Śląska, a zakończy, jak sądzę, w Nowym Sączu. Towarzyszy jej zacny katalog. Przyznam, że takiego jeszcze nie widziałam. Wygląda jak jubileuszowa księga pamiątkowa,

liczy sobie ok. 240 stron, waży ok. 1,5 kg i ma godziwą, twardą oprawę.

Co, wraz z uczniami zobaczyłam na tej wystawie? Klocki do gry, rozrzucone na podłodze (K. Józefowicz), drzewo genealogiczne przeniesione z rodzinnego albumu (A. Bogacka), klepsydrę która nie działa bo piasek w niej zastąpiono proszkiem ze zmielonych paznokci (M. Drożyńska), misz-masz na video, którego nie da się oglądać (Z. Janin), plansze komiksu (W. Sasnal), szkicownik (A. Żmijewski), Casting (K. Kozyry) zmierzający do realizacji autobiograficznego filmu i wiele innych.

Dzieła autorów wynikają, jak pisze kuratorka wystawy M. Ujma, z postawy autobiograficznej. Niestety nie zauważyłam głębszego, artystycznego przetworzenia owych codziennych zapisków: fotografii, szkiców, dzienników, zapisków podróży, fragmentów autobiografii. Są one surowe i pozbawione głębszej idei.

Autorzy prac odwołują się przy tym do obserwacji bezpośredniej (jednej z technik socjologicznych), praktykowanej m.in. przez antropologów podczas badań tzw. ludów prymitywnych. Widzimy tu jednak zamiast życia codziennego dzikich, codzienność zbiorowości, w jakiej uczestniczą autorzy. Nie dopatrzyłam się w niej aluzji – jak sugeruje kurator – do ustrojowej transformacji i jej gorzkich owoców. Wystawę cechuje raczej brak świadomości społecznej – politycznej; wybija się bezrefleksyjne powielanie panujących schematów i stereotypów. Z jednym wszak wyjątkiem: M.M. Niespodziewanej, która pisze haftem na obrusie: „Mam 40 lat i nie muszę być małą, grzeczną dziewczynką nigdy więcej”. Jej praca odnosi się do stereotypów płciowych i dobrze wpisuje się w sztukę feministyczną. Ale jaskółka nie czyni wiosny.

3.

Miałam (wraz z uczniami) wrażenie, że wystawiający tylko dublują to, co od dawna w sztuce dzisiejszej obecne. Siłą się na oryginalność. Na przykład artysta W. Bąkowski ustawił wielkie pudło, po wejściu do którego oglądamy banalny film o jego własnym pokoju. Jego zaś grafika łączy się z drażniącym dźwiękiem, a domowa neuroza podsycona zostaje poczuciem zamknięcia. A. Bogacka z kolei, wystawiając skanowane strony pamiętnika babci z Powstania Warszawskiego, pomyliła miejsce ekspozycji. C. Malik zaś wspina się na drzewo i pozuje do fotek, przybierając pozy modelki, wiszącej na kolejnym już 365 drzewie.

Szczerze osobista natomiast i prawda, jaką oferują pozostali autorzy, nic ze sztuką nie ma

wspólnego. Stanowi świadectwo infantylnizmu i braku zrozumienia roli współczesnego artysty.

W tym kontekście jest zrozumiałe, że po obejrzeniu tego wszystkiego ani ja, ani młodzież nie mieliśmy wiele sobie do powiedzenia. Najpewniej uczniowie wyszli z przeświadczenia, że skoro to wszystko znajduje się w galerii, to jest sztuką; więc z ich percepcją jest coś nie w porządku. Czułam się niezręcznie, ponieważ zachęcałam ich do obejrzenia tej wystawy. Spodziewałam się czegoś znaczącego i wartościowego, krytycznego tym bardziej, że w wystawie wzięła udział grupa znanych i kontrowersyjnych twórców jak choćby: K. Kozyra, J. Rajkowska, W. Sasnal, A. Żmijewski. O pracach trudnych, kontrowersyjnych można przecież mówić wiele, co jednak zrobić w takiej sytuacji?

Wystawa ta rozczarowała mnie. Nie pomijam jej jednak milczeniem, bo – paradoksalnie – stworzyła ona dydaktyczną szansę, by pokazać uczniom, że nie tylko nie wszystko, co się świeci to złoto, ale też, że nie koniecznie sztuką jest to, co pokazują galerie artystyczne. Nie świadczy to o nich najlepiej.

Być może taką grzecznie banalną niby-sztukę bezpieczniej jest pokazywać i łatwiej na nią zdobyć dofinansowanie. Wszak nikogo nie obraża. Nie zwywa do buntu, świat jest jaki jest; nie można go zmieniać jak ubrania. Nie istnieją więc niebezpieczeństwa związane z jej niekonwencjonalnym wpływem na młodzież. Poza tym, jak powszechnie wiadomo, podatnik woli by drogi i galerie były bezpieczne. Sprawa jest więc nad wyraz prosta, a grzeczny banał w sztuce wręcz idealnie wpisuje się w pozorny porządek i biurokratyczny ład państwa.

Również nauczyciel i uczeń stają się tu zbędni, jako widzowie, bo jest im potrzebny obiekt, umożliwiający poznawczą analizę. Tego zabrakło.

4.

Podobno pisanie, mówienie, wizualizowanie siebie to trend naszych czasów. Dlaczego więc nie nazwać dziełem sztuki portalu społecznościowego? Można by wtedy zlikwidować galerie i przenieść całą zabawę w sztukę do sieci, a artystą nazywać każdego użytkownika. Pomyśły tego typu zresztą pojawiają się co jakiś czas. Obfitował w nie wiek poprzedni, a happening dał każdemu taką możliwość.

Oczywiście możemy pytać o wartość dla dzieła sztuki biografii artysty. Może ona przecież być punktem wyjścia do powstania dzieła.

(Dokończenie na stronie 4)

Grzeczny banał

(Dokończenie ze strony 3)

Jednak powinna zostać wtedy odpowiednio artystycznie przetworzona. Niestety tego tu zabrakło, a jej kurator chwali biograficzny banał i przypadek jako wartości same w sobie.

Jako nauczyciela i odbiorcę sztuki nie interesują mnie dolegliwości i ciało twórcy, czy jego życie osobiste. Interesuje mnie jedynie dzieło, które takim staje się dopiero wtedy, gdy oderwie się od swojego wytwórcy i zacznie żyć swoim własnym artystycznym życiem.

Nie ma bowiem bezpośredniej zależności w sztuce między życiem prywatnym autora a powstałym dziełem. Artystą się przecież zaledwie bywa, a poza tym ma się jakąś prywatność i odgrywa wiele ról społecznych, spełniając wynikające z nich obowiązki.

Życie wszystkich, w tym również artystów, podlega podobnym schematom. Nie interesuje mnie jak i kiedy kicha twórca, co je i gdzie robi zakupy. Prywatność jednak sama przez się nie jest wartością estetyczną czy artystyczną.

To oryginalność nadaje dopiero tworowi sztuki wartość. Oryginalny był M. Duchamp, przynosząc do galerii pisuar, ponieważ dokonał tego gestu jako pierwszy. Powiedział odbiorcom, że to artysta wybiera i decyduje o tym, co jest dziełem; i że wolno mu wszystko. Równocześnie zakpił sobie z sakralizacji dotychczasowej sztuki i jej odbiorców, i nie ukrywał tego. Dziś jednak prymitywne powielanie jego praktyk nie ma nic wspólnego z oryginalnością. Podobne, jak banalne reprodukcje utartych schematów codzienności. I ja, i moi uczniowie mamy ich po dziurki w nosie poza galeriami sztuki.

JOANNA RATAJCZAK

Nieznane jutro poszukiwaczy słów

Tyle nas łączy, ile nas dzieli. Dzieli nas jedynie odległość, a łączy nas bardzo wiele. Jest to: czas buntu i czas łagodności. Jest wiara i nadzieja, jest miłość. I jest „Pora zdumienia”. Też wierzę w ósmy dzień tygodnia, w którym poszukuje się spełnień. A nawet i moje zdumienia pojawiają się czasem w soboty. *Codziennosci i święta* same nas odnajdują w paroksyzmie trwania. Pomiędzy tym wszystkim są: *złudzenia, przybliżenia, oczekiwania, szukania i odnajdywania*. Jest życie, a życie... jest zagadką. Bolesną zagadką, na którą prawdziwe i głębokie odpowiedzi mogą znaleźć tylko poeci.

Zanurzyłem się w poezję tak czystą jak źródłana woda. „Pora zdumienia” Pawła

Kuszczyńskiego wywołuje u mnie taką oto refleksję. Bowiem poeta zdumiewa się w sposób śnieżnobiały, dziewiczy, zdumiewa się nienazywalnym i niedotykalnym, zdumiewa się pięknem i chwilą. Doznaniem się zdumiewa. Zauważa, dostrzega i składa w ofierze. Poeta dotyka miejsc, a miejsca tkwią w nim i stają się nim – *odwzajemniają się, za dawną obecność*. Tak – tak silna jest ta obecność. I trzeba z tym zdumieniem rozmawiać, oblaśkawiać go, zgłębiać, wnikać weń całym, darowanym przez lata – Jestestwem.

Paweł Kuszczyński jest autorem 12 książek poetyckich, z których ostatnio wydana, w 2012 roku, nosi tytuł „Pora zdumienia”. To bardzo dobry tytuł. Oddaje ten klimat, nastrój i atmosferę, która towarzyszyła Twórcy. Oddaje ducha zakłętego w tym słowie. W zasadzie czytając wiersz za wierszem odczuwam jakbym „Tam” był. Znaczy, że oddała też i mojego „ducha”. Też staję nad brzegiem morza – oniemiała, dzieje się nasycenie pragnieniem dali i miesza się z okruciami przeobrażenia wywołanymi tej dali ogromem. Poeta tka swoją nić, chwytam ją i daję się poprowadzić w taką właśnie krainę łagodności i doznania. Może jest to spowodowane tym, że sam tworzę w atmosferze buntu i braku zgody. Że żyję w takim świecie i chcę z niego uciec. Obłąskawiam też antymaterię i ... czuję się zmęczony. Czytając wiersze Pawła odnalazłem w sobie tożsamość z losem i z niego ucieczkami – wielkie zdumienie. Dziękuję Ci – Pawle. To bezcenne.

Wcześniejszy tom Autora – „Spotkanie pragnień” zasłużenie otrzymał w 2009 roku Nagrodę Literacką XXXII Międzynarodowego Listopada Poetyckiego za najlepszą książkę poetycką roku. To nie był przypadek. Paweł Kuszczyński jest wciąż w formie. „Pora zdumienia” to dobitnie potwierdza. Tajemnicą poezji jest chyba jej potrzeba nasycenia się człowiekiem – twórcą. Wiersze się rodzą u nastolatka, kwitną w wieku średnim, ale prawdziwy wdzięk, właściwy owoc i największą mądrość wydają w wieku dojrzałym. Zatem poezja potrzebuje nas wchłonąć wraz z życiem i przeżyciem, zadomowić się w nas całkowicie do dna, aż po kres istnienia. Wiersz potrzebuje summy doznań, natłoku doświadczeń, oraz esencji refleksji z przeżytych lektur, naszych uczuć i naszych pragnień. Bez pragnień, nie odda nam owych tytułowych zdumień. Nie obdarzy nas nimi. Nie odkryje nam tej wysnionej Arkadii.

Paweł publikował już wiersze w tak wielu miejscach, że nie trzeba tych miejsc przywoływać. Są ważne na mapie Polski poetyckiej i literackiej. Jego działalność artystyczna doznała spełnienia – za osiągnięcia w poezji i krytyce Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego przyznał mu Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”. Był laureatem i innych nagród, odznaczeń, ale co najważniejsze ma zdolność nawiązania relacji z czytelnikiem, przekonania go do stanów, chwili, wydawałoby się bardzo intymnych oraz prywatnych

(jak na mężczyznę z krwi i kości) uniesień. To wielki dar, który poeta wypielęgnował, rozwinął i doprowadził do szczerego dialogu z czytelnikiem. To jego *zakrycia wtajemniczenia, gdzie słowo jest najbliżej duszy*. Autor odziera nas tam ze złudzeń i półprawd, które płaczą nam życie – przekonuje, że *istnienie ukrywa się w przymusie wolności...* Zastanawiam się. Tak. Ten przymus jest determinantą aktywności. Burzy się w nas jak ocean. Nadchodzi sztorm. Niszczy. Potem jest ukojenie. Spokój, pora przyprawy i spełnień. Słowem dojrzałość. Finalnie – „Pora zdumienia”. Tylko ona może wznieść początek Nowego.

Nie wiem dlaczego, z taką łatwością wchodzę w świat poety. Wiem poniekąd, że tam, tak naprawdę, wejść się nie da, ale ja już tam jakoś jestem i jakoś czuję. Widzę i swój zjazd absolwentów, swój świąteczny komentarz, widzę widok z mojego okna i wiem – jak Paweł – że *życie jest większe od poszukiwanych słów...*

...a My, Poszukiwacze Słów... mamy więcej nadziei niż ten świat jest wart.

Tak, właśnie tak, mogę się dzielić słowem – szukając go i... pisząc. Paweł Kuszczyński dzieli się nim z wieloma ludźmi. Ludźmi, którymi życie, z kolei Jego obdarowało. Tak to odbieram sądząc po mnogości wierszy dedykowanych. A kiedy do tego są to wiersze ważne, wiem ile ona znaczą. Jaka jest ich waga oraz powaga. Jest ona potężna. Kruszy każdą skałę. Obydwaj jesteśmy absolwentami Akademii Ekonomicznych – Paweł w Poznaniu, ja w Katowicach – obecnie Uniwersytety Ekonomiczne. Dobre, stare, dostojne – uczelnie z tradycjami. Nauczono nas tam kruszyć skały, choć do dziś dziwią się skąd w nas poezja. Poezja nie zna jednak władców ani skał. Nie zna tronów, monarchów, królestw. Ma własne drogi zakażania człowieka. Pytaniem jest, na ile nie potrafimy się Jej oprzeć. Paweł jest zakażony całkowicie. Jak pisałem na wstępie – stworzył poezję czystą i lirycznie uczciwą. Sądzę, że dojmująco szczerze jest „Wyznanie” złożone 23 września 2010 roku naszemu wspólnemu przyjacielowi – Zbysz-kowi Gordziejowi:

*Zapomnieć o sobie, zgubić siebie
w miłości zaprzeczającej czasowi,
przestrzeni nieoczekiwanych obrazów.
(...)
Nadal powtarzam:
Życie jest wszystkim*

Poezja też jest wszystkim: wyrwana z ciągu zdarzeń, ze świata bez znaczeń, w odrętwieniu czekania – jak pisze w jednym z wierszy. A życie nam ucieka. Ale my wciąż żyjemy. I pozwalamy się Jej uwieść. Tak naprawdę jednak – i to jest u Pawła najważniejsze – poezja jest mniejsza, niż nasza potrzeba bliskości drugiego człowieka.

(Dokończenie na stronie 10)

MNIJ WIĘCEJ (109)



Foto: Zofia Mikula

Nie wypuszczę!

Agnieszka Marek widuję od pewnego czasu jako juror na konkursach poetyckich. Otrzymała sporo nagród, a więc utrwalił się sygnał, że jej pisanie jest zauważalne, co w tym zalewie tekstów i autorów już samo w sobie stanowi sukces. Oczywiście konkursy nie decydują o ostatecznym sukcesie twórczym – mógłbym wymienić wielu „zawodowych laureatów”, których dzisiaj mało kto pamięta. Ostateczny sukces wymaga czegoś więcej i droga do niego jest skomplikowana, wytyczona dość nieprzewidywalnymi syndromami. Trzymam kciuki za Marek, bo na tym etapie zaistnienia wierzę w jej talent.

LESZEK ŻULIŃSKI

Marek zadebiutowała niedawno książką poetycką. Jej tytuł: *Wypuść mnie, wypuść*. Nie śpieszyła się z tym debiutem, w końcu do niego doszło właśnie w wyniku konkursu. Autorka otrzymała Nagrodę Główną V Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Janusza Różewicza w Radomsku i to wydanie było właśnie ową nagrodą.

Tomik ładnie i solidnie wydany. Zajrzyjmy więc do środka...

No, kochani bigoci, asceci i purytanie – nie dla was ten tomik. Agnieszka Marek to poetka zmysłowa. Będę ją za to wychwalał, więc wy już na tym akapicie porzućcie dalszą lekturę tej recenzji.

No bo rzeczywiście wiersze te hulają w żywiole erotyzmu i te opary przyciągają takich bezecników jak ja. Wytarzałem się w nich jak kot w walerianie i ochota do życia mi wróciła.

Najpierw zachwyił mnie motyw perły. Pojawiła się *Dziewczyzna z perłą* Veermiera, a zaraz potem *Poławiacze perł* Bizeta. W tym pierwszym wierszu taka fraza: *Srebro zaczyna lśnić dopiero wtedy, gdy mieszasz / szarość z wylizanym ze mnie śluzem*. W tym drugim

mądra pointa: *Zanim otworzysz muszlę, rozcałuj lód*.

A potem wszystko już w tych wierszach staje się erotyczne. Gdy natkniecie się na zdanie *Pewne sprawy wciąż nie uchodzą na sucho*, to zrozumiecie ostatecznie, że macie do czynienia z erotykami.

No, pozwalam sobie tutaj na frywolny ton, ale wcale nie jestem pewny, czy chciałbym być kochankiem Agnieszki Marek. One (czytaj: kobiety) wszystko komplikują. Tak więc najpierw poetka rozstrzuwa opar kulturowości, czego sygnał dałem już wyżej. Dobrać się do jej *nagiej duszy* to przebrnąć przez liczne sceny, kurtyny, dekoracje i didaskalia. Przez ten gąszcz symboliki, toposów, odniesień i znaczeń zastanych, które – tu posłusznie się Freudem – nie wiodą od *id* poprzez *ego* do *super-ego*, lecz dokładnie w porządku odwrotnym. Chyba słusznie, bo właśnie tam, głęboko, pod wieloma makijażami życia kryje się złoto Miłości. Marek nie wyrwa go jedynym uderzeniem kilofa. Aksamitnym sejsmografem języka wyczuwa to złoto pod własną skórą i bardzo delikatnie, choć bezpruderyjnie (i chwała Bogu!) bierze kruszec w swoje ciepłe dłonie.

Historia erotyku ciągnie się od Safony. Fenomen tkwi w tym, że jest to gatunek wciąż niewyeksplloatowany, choć coraz trudniejszy. Udać dziś może się tylko wtedy, gdy znajdziemy w sobie ten wyłącznie nasz, niepowtarzalny, nowy język. Marek jest bardzo wyrazistym przykładem takiej właśnie „świeżości”.

Beata P. Klary napisała o tym tomiku m.in.: *Miłość u Marek nie oznacza jednak popularnie rozumianego słowa „romans”. Odnosi się wrażenie, że kolejni kochankowie których poznajemy, autorka rozumie jako płaszczyznę przenikania się żywiołów, barw, przestrzeni uczuć w różnych gradacjach*. Podzielał to zdanie. Mógłbym je tylko tak rozwinąć, że erotyzm Agnieszki Marek jest łańcuchem osobnych kosmosów. Poniekąd pasmem kolejnych transgresji, byciem od nowa, budzeniem się od nowa, przechodzeniem z aury do aury. Niby wszystko takie powtarzalne, a jednak nie jest odbijaniem sztancy w stale tym samym tworzyw. Usta zawsze zanurzają się w nowym źródle. Klary także celnie zwróciła uwagę na topos wody, który często się w tych wierszach pojawia. Woda kryje w sobie symbolikę śmierci (Ewa Lipska pisała: *kiedy mówimy o topielcach, nabieramy wody w usta*, również Sylvia Plath obficie płała się w wodzie niczym topielica). U Marek byłbym raczej skłonny iść tropem „wód płodowych”, co raczej kojarzy nam się z *aqua vitae*. Z ożywczym źródłem, a nie z ciemną studnią. To dobry wątek do solidnego rozwinięcia, lecz tylko go sygnalizuję...

Bardzo zatrzymał na sobie moją uwagę wiersz pt. *Urodziny lingwistki*. Cytuję go w całości:

Wyrosłam z krótkich pocałunków. Bez języka nie podchodź, po trzydziestce zmieniają się

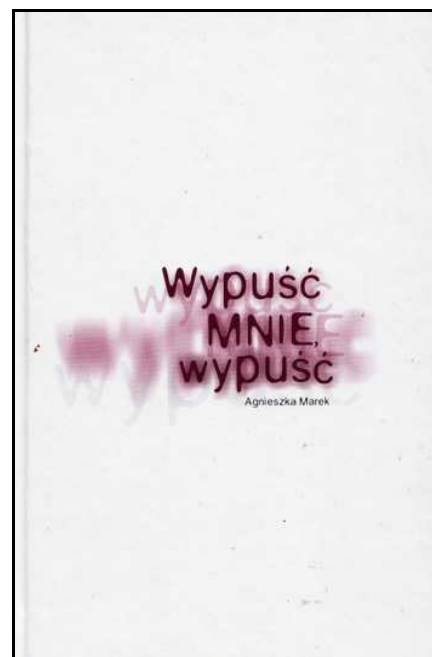
priorytety i langue nabiera znaczenia bardziej niż parole. Na razie możesz oblizać palce, usiąść bezpiecznie daleko i patrzeć albo pisać żalosne wierszyki o niespełnionej miłości.

Wkrótce wstanę i podejść bliżej tylko po to, by upewnić się, że pod dorosłą koszulą kryją się przetarte szelki Piotrusia Pana.

Proszę zauważyć, że mamy znowu do czynienia z tą samą sytuacją typową dla tej autorki: można ten wiersz czytać tylko jako erotyk. Ale jest to erotyk „zintelektualizowany”, bowiem nie idzie tu o ten „dosłowny język”. Chodzi o dychotomię mowy i języka. Np. mowa ciała to inny komunikat niż język werbalny. W mowie kryje się wiele języków, ale mowa nie musi posługiwać się językiem. Mowa jest osobliwym substratem słów. W tym wierszu także ów symboliczny Piotruś Pan jest sygnałem mowy, nie języka. Innymi słowy „psychologizacja” i „intelektualizacja” tych wierszy zderza się niemal wszędzie ze zmysłowością

Spotykamy tu kilkakrotnie słowo *polimoria*, którego sens radziłbym w tym przypadku uniwersalizować. Miłość jako żywioł i *elan vital* staje wtedy ponad wszelkimi jej konkretyzacjami.

Długo smakowałem ten tomik. Powinno o nim napisać szkic, nie recenzję. Jeszcze przez jakiś czas nie wypuszczę go z rąk – tak np. czytałem wspomnianą Sylvię Plath lub Dylana Thomasa, tzn. wciąż dochodząc do kolejnych sensów i substratów poezji.



Agnieszka Marek, „Wypuść mnie, wypuść”. Miejski Dom Kultury w Radomsku 2013, s. 64.

Krystyna Rodowska

Między obcięciem języka a sylabą głodu

wstaję
pobieram sen
zamalowuję scenę
która dopiero się odbędzie

zdaję się niespokojnym na budę
głodnej poincnie na wigilijnego karpia

*
najważniejsza jest czystość
nawykam
do codziennego wymiatania
miar mnie już nie poznających

*
okoliczność ma takie oczy
jakie się w niej zaogniły

na takie się nie godzimy
godzone
każdym odłamkiem buntu

ma takie zbrocza i urwiska
w twarzy
w jakie zapadasz
wspinając się w oddech

*
otworzyć się nie otworzyć
oto szamotanie
o tworzyć
otworzyć
ot ważyć się na życie
niezależnych ode mnie następstw

o nie mieć nic
prócz O

Kościół dziwnie kosmaty

Zadziwiają mnie kwiaty kasztanowca
śnieżnie białe, lecz dziwnie kosmate
w chochlikach ciemnego różu, siarką pokalane
i co gorsza, gdy je powąchać, niepięknie
pachnące

A z daleka, w procesji – Gloria i Hosanna!

Czyżby świętość nie mogła być prawdziwa
bez przymierza z ciałem, z nieprzyzwoitością?

Środki czyszczące

dni i noce
umywają od nas swoje długie ręce

i w końcu nas wywabiają
jak plamę z ubrania

które ma jeszcze posłużyć
już nie nam

Waż pytajnika

Świat jest jedną wielką katastrofą
rozsypaną na miliardy drobnych nieszczęść
z prześwitem beztroskich wakacji,
z niewidocznym (jeszcze) grzebieniem
tsunami na horyzoncie

Katastrofa jest naszym jedynym światem?
(waż pytajnika zwiesza się z drzewa
odwiecznej wątpliwości i kusi)

Rozmyślenia przy myciu zębów

Co najmniej trzy razy na dobę
obmywam zęby z nalotu śmierci
Ona jest żółta albo czarna
Czuć ją świeżością i rozkładem

Dlaczego wymyślamy jej rodzaj żeński?
Dlaczego mnie urodziła a teraz zjada,
mnie – bakterię myślącą wśród zębów
wszechświata?

Ciągłość

Pocieszamy się że jest miłosierny
Nazywamy go Panem
z (doprawioną) siwą brodą patriarchy
i ręką karzącą dla swoich stworzeń

Jego eksmisja z wysokości
nie dochodzi do skutku bo ciągle
nie umiemy oswoić się z pustostanem

Ćwiczenia nie tylko z gramatyki

ostatnio coraz częściej mówię
do siebie ty

to nie jest ty przyciągania
opiłka przez magnes miłości
ty w którym się spala odległość
ode mnie do niego

teraz ty jest zaimkiem pęknięcia
we mnie samej
i jest w tym coś z utraty
niewinności

*
moje dziecko – mówisz protekcyjnie
(najwidoczniej do tej której chcesz matkować)
przestaniesz być pierwszą osobą
liczby – i tak wątpliwie – pojedynczej

z osłej ławki wprawdzie nie wyjdiesz
ale ucz się dystansu – przypatrz się tej drugiej:
to ona płacze z miłości
nie ty

jak się lepiej postarasz
odbicie zostanie już po tamtej stronie
i od ciebie zależy czy zaczniesz
żyć inaczej i dłużej
niż ty

nareszcie pękasz
osobo

Tożsamość

*Kim jest ta krew, ściętna, oczy,
TA DZIWNOSĆ, TA PRADAWNOŚĆ?
Rafael Cadenas, „Podejrzenie”.*

Przychodzi kiedyś pora na skok.
Może to skok nastaje na porę?

Wypadłam. Gorzej lub lepiej, to pewne.
Odtąd rozbijam się na porachowane
(przez Instancję) kości i
zachodzące mi za skórę, kolejne ciała,
z których ani jedno
nie zmartwychwstanie. Żadne z naniesionych
(przez lustra, fotografie, cudze spojrzenia) ciał
nie zostanie duchem mojej cielesności.

Więc czym jest to, co tłucze głową o mur ciała,
mur, który sam z siebie się wykurusza?

1972, 2009

Ciało poety

Jarkowi Markiewiczowi, w dniu pogrzebu

Umiera poeta – dogasa hieroglif
ciała z którego iskry wciąż lecą i proszą
prosto w oczy niewiernych – wiernych
umieraniu
tych wszystkich którzy nagle zmęczeni się
ciałem

Skupiony w garstce prochu
masz przed sobą przestrzeń

Zakopany w po-byciu
przebierasz się w ciało

czytelne dla czasu
(już nie do czasu)
wyzute z do
tykalności
doskonałe TY

6 lipca 2010-31 maja 2011



Janusz Koniusz

Łza

Polaty się łzy wielkie rześiste
na poetę
gdy zmarł
ani jedna łza
nie spłynie
na mnie

Rachunek sumienia

Mój jedyny syn nie doczekał się poczęcia
Nikt nie padnie z jego ręki
Nikt nie zginie pod gruzami mojego domu
który rozsypał się w wyobraźni architekta
Nie posadziłem drzewa
Uratowałem czyjeś życie
Dobrych uczynków więcej nie pamiętam

Kulomiot

Z łaski bóstw na Olimpie
po obrocie wokół własnej osi
na niebotyczną odległość
pchnął kulę ziemską
która z zachwyty
na jego piersi
wzeszła
złotym medalem słońca

Operacja

Gotfried Benn lekarz medycyny
w stopniu majora Wehrmachtu
w lazarecie na oddziale chorych na raka
wojny
rozgrzanym do białości bagnetem ordynansa
bez znieczulenia
na własnej ręce do żywego mięsa znamię
nazizmu wypalił
gdyż przeszkadzało mu w pisaniu zdrowych
wierszy
i z bólu utracił świadomość
Na równe nogi
postawił go marsz kamratów
grany na placu alarmowym
przez wojskową orkiestrę przed wymarszem
na front

Rozczarowanie

Ciągle cięży mi głowa
jakbym cały świat na niej dźwigał
a noszę jedynie
dwa siwe włosy
na krzyż
które wciąż dzielę
na czworo

Adam Lewandowski

Macierzyństwo...

Poranka, które nie różnił się
od innych, no może poza silnym
chłodem, nie sposób zapomnieć.
Niebem sływały doraźne
chmury mówiące co przyniosą
w najbliższym czasie.
Jedne wspominały o tym
co widziały sprzed laty - przybrudzony,
smutny obraz szarości
i biedy. Drugie teraźniejszość
z uśmiechem, błyszczącymi zrenicami,
w których można przejrzeć
się niczym naturalnym źródłem,
co za chwile zmącone zostanie
zwykłym kijem zerwanym
z pobliskiego drzewa.
Spoglądając w górę ujrzałem
spadające z drzew strumienie
winorośli. Końcówki dotykały trawy,
wrastając ponownie w życiodajną ziemię.
Macierzyństwo ogrodu.

Bliskość

Oglądasz mnie za stołu,
biurka na którym sporo
codziennych spraw.
Ważne i mniej ważne
przesłaniają obraz
z refleksją rzeczywistości.
Te ważne to usprawiedliwienie
nieuwagi, płochę odchodzenie
od ważności.
Widzisz przedmiot,
maszynę do mówienia tak
i nie, podpisania i wyrokowania
o innych i za innych.
Skupiony melanż wariacji
zarządzania. Może kiedyś
usiądziesz obok mnie na kanapie,
pochylisz się i powiesz dla przykładu:
wiesz dzisiaj poranek był taki przejrzysty,
a myśli moje były
zaprzątnięte wschodzącym słońcem.
Pojawi się wówczas uśmiech,
który objawia to co najważniejsze:
jesteśmy blisko siebie.

Inny świat

Jaskrawe światła choinki
przypominają niebo, za którym jest
inny świat. Iluzja przysłonięta
migającymi bombkami, długimi
łańcuchami po których snują się
marzenia. Od czasu do czasu należy
je wymienić, innym razem posklejać

by zachować świeżość pragnień.
Niektóre ogniwa jak sakwy zbierają
okruchy niedostrzegalne w prostocie
chwil, by w momencie zamienić je
w ważne i odpowiedzialne.
To one decydują o życiu i przestrzegają
o harmonii, jak wybrane symfoniczne
nuty, które nigdy się nie powtórzą.
Czasami pojawiają się marcepanowe
słodkości do mdłości przypominające
życiowe szczęście, które zamienia się
w przyzwyczajenia. To już nie jest spokój,
a tylko niepamięć.
Przeglądam się w lustrzanych cieniach
i widzę nadchodzące pejzaże życia, które
niekiedy odmieniają się w ożywienie.
Jestem, bo czynię i działam w pierwotności.
Ten inny świat to moje życie!

Pół...

Marzenia wymagają poświęceń
godnych prawdziwego życia!
Tak, to takie dotknięcie gorącej płyty pieca,
które pozostawi ślad na długie lata,
wspominany za każdym
spojrzeniem. Ślad, który przypomina
o swoistości pragnień za kurtyny
codziennych czynności.

Pół marzenia zrealizowane całe
życie zyskane.

Po chwili widzę jak zabiega o mnie
kolejne pragnienie: takie bezwolne,
jasno zdefiniowane. Korci wyglądem,
smakiem i wyzwaniem. Potrzeba nie
lada sił by chwycić za nogi i ręce,
a potem już tylko przytulić i szepnąć:
dzisiaj jesteś Ty, ogarniająca stulecia,
a czasami tylko dni.

Pół pragnienia zrealizowane całe
życie zyskane.

Drogi...

Pojawiasz się pomiędzy cieniami
Godzin, dnia pędząc wytartymi arteriami,
które powstały przez lata.
Jak blizny, które się goją,
lecz zostają by przypominać
o szorstkości bólu.
Za każdym zakrętem
zapominasz o minionej prostej,
myśląc o kolejnej,
która może być finiszem.



Anna Irena Falandysz

Śniadanie z Lollobrigidą

(Mariola) – fragmenty

Część I

Zdawałoby się, że mogło to być zdarzenie jakich wiele, o których szybko się zapomina. Jednak od tamtego, wiosennego ranka 1980 roku, moje życie nabrało sensu. Przypuszczam, że właśnie wtedy nadszedł ten czas, gdy rzeczy przedtem nieważne, zaczęły nabierać nadzwyczajnego znaczenia. Dlatego pewnie i z entuzjazmem wziąłem los w swoje ręce, nieświadomy konsekwencji, jakie niesie ze sobą pierwsze, młodzieńcze uczucie.

Tamtego szczególnego dnia obudziłem się z gorączką, więc mama oświadczyła, że do szkoły nie pójdę. Obejrzała gardło, stwierdziła anginę i obiecała, że od lekarki spod ósemki przyniesie potrzebne lekarstwa. I to było wszystko z jej strony, ponieważ na nic więcej nie miała już czasu. Była dozorczynią naszej kamienicy, a tego poranka musiała dodatkowo posprzątać podwórze, a głównie chodniki przed wejściem do schodowych klatek. Natomiast ojciec, który wczoraj wieczorem wrócił z codziennej, pijackiej libacji, teraz głośno chrapał i wykrzykiwał coś przez sen. To zawsze budziło we mnie strach, dlatego na wszelki wypadek poruszałem się cicho, bo gdyby się przypadkiem obudził, wówczas... szkoda gadać.

Usiadłem na oknie w kuchni, z bułką w jednej ręce i butelką mleka w drugiej. Z wysokości parteru bezwiednie obserwowałem, jak matka myje szerokie kafle przed naszą sienią. A potem usłyszałem szybki stukot pantofelków. Odwróciłem głowę i zobaczyłem Mariolkę, sąsiadkę wybiegającą z narożnej klatki, gdzie mieszkania były najpiękniejsze w całej kamienicy.

Wtedy, w tamtej sekundzie dotarło do mnie, że Mariolka już nie jest małą kumpelą, z którą ganiałem po podwórku dawno temu. Właściwie nie widziałem jej od lat, dlatego teraz oniemiałem.

Miała na sobie krótki płaszczek, niebieskie pantofelki, a modna, szkolna torba przerzucona niedbale przez ramię, bez przerwy zsuwała jej się do łokcia. Włosy ściągnięte w jedną kity z boku, poruszały się rytmicznie w takt szybkich kroków.

Nie wiedziałem czy mam patrzeć na jej dumnie podniesioną głowę, rozmarzone oczy i pełne usta, czy na zgrabne uda, których ruch ostatecznie zburzył mój spokój. Ale wtedy, w momencie gdy ona usiłowała ponownie umieścić na ramieniu pasek torby, nagle jej cała postać straciła pion. Z przerażeniem zobaczyłem, że nienaturalnie rozłożone ręce i nogi, lądują przed kubłem mojej matki.

Zamknąłem oczy. Ale zaraz szybko otwo-

rzyłem, bo jej krzyk był tak doniosły, że bezwiednie zeskoczyłem z parapetu i rzuciłem się do drzwi wyjściowych. Lecz zanim dotarłem na miejsce, Mariola z powrotem stała na nogach, a moja matka z przerażeniem w oczach usiłowała wyczyścić jej płaszcz. Ona wciąż wrzeszczała, a mama przeproszała i schylona wpół dalej machała rękami, od których dziewczyna usiłowała się uwolnić.

– Niech już pani weźmie te łapy! – krzyknęła jeszcze głośniej. – I przestanie lać wodę ludziom pod nogi! – dorzuciła ze złością.

Wtedy moja matka nagle wyprostowała się i zamilkła. Tymczasem Mariola sprawdziła czy ma całe rajstopy, a potem nagle spojrzała na zegarek i klnąc pod nosem ruszyła pędem przed siebie. W moją stronę nawet nie spojrzała, chociaż prawie się o mnie otarła. Stałem więc przez chwilę jak skamieniały, a potem popatrzyłem na mamę. Wciąż tkwiła w tym samym miejscu i teraz spoglądała na mnie. Właściwie nie musiała nic mówić. Jej wzrok był dla mnie aż nadto czytelny. Odwróciłem się na pięcie i wszedłem do domu. Runąłem na łóżko i zacząłem intensywnie myśleć. Już nie pamiętam jak to się stało, że dostałem olśnienia. Miałem piętnaście lat, a jednak dotarło do mnie, że nie chcę skończyć jak moi rodzice. Chcę być kimś ważnym i zauważalnym dla takich dziewczyn jak Mariola.

* * *

Od tamtego momentu patrzyłem na Mariolę codziennie. Regularnie o siódmej trzydzieści wychodziła z domu i za każdym razem wyglądała zjawiskowo. Dopiero jak znikwała za rogiem, to ja wybiegałem z mieszkania do szkoły. Niestety, w zupełnie innym kierunku niż ona. Często więc spóźniałem się na pierwszą lekcję, co doprowadziło do obniżenia oceny z zachowania. Ale czy to miało znaczenie? Liczyło się tylko to, że przez parę chwil mogłem bezkarnie patrzeć na Mariolę i to prawie z bliska.

Upokorzenie a potem wstyd, to wszystko co zaznałem tamtego dnia gdy poniżyła moją matkę – powoli mijało. Dobrze wiedziałem, że świat Marioli bardzo różni się od mojego, a poza tym jak mogła mnie gdziekolwiek dostrzec, skoro byłem od niej młodszy o całe cztery lata. Jednym słowem, wciąż dla niej nie istniałem, jak niewidzialny pyłek, jak rozrzedzone powietrze. Dobrze wiedziałem, że przez jakiś czas nic tego nie zmieni. Ale później...

Miałem swoje marzenia. W przyszłości chciałem posiadać warsztat samochodowy i spore konto w banku. Żyłem w rodzinie, gdzie

wyznacznikiem wszystkiego był pieniądź. Od czasu gdy ojciec wpadł pod ciężarówkę i wskutek odniesionych obrażeń stracił pracę, chodził pijany prawie codziennie. Niestety pił za pieniądze matki, która każdego ranka sprzątała którąś z sieni naszej kamienicy. Na dodatek raz na tydzień zamiatła chodniki przed klatkami i jeszcze usiłowała coś dorobić pucując cudze mieszkania. Lecz i tak gdy ojciec wypił za mało, czyli nie wpadał od razu w swój barłóg – obrywała od niego za całokształt. A głównie za to, że mu się w życiu nie powiodło. Natomiast w krótkich momentach trzeźwości, rozmawiał z matką o pieniądzach i... tylko o pieniądzach, których wciąż było za mało.

Po tamtym szczególnym poranku, gdy po tygodniowej chorobie wróciłem do szkoły postanowiłem, że swoją reformę zacznę od rewolucji w edukacji. Oświadczyłem wychowawczyni, że nie pójdę do zawodówki, czyli do „mechaników”, tylko będę zdawać do technikum samochodowego. Pamiętam, że spojrzała na mnie ze zdziwieniem, a potem otworzyła dziennik.

– To musisz poprawić oceny. Przynajmniej te z głównych przedmiotów.

– To poprawię – oświadczyłem, jakby chodziło o włożenie koszuli do spodni.

– Coś się stało? – nie mogła opanować zaskoczenia.

Pewnie, że się stało. Nie mogę startować do dziewczyny, która pod moim oknem codziennie pędzi do ogólniaka. A potem pewnie wyłąduje na jakiejś uczelni i to oczywiście nie byle jakiej. Jak to by się miało do mojej zawodówki?

– Nic takiego. Tylko tamta szkoła jest dla głabów, a mi się zmieniły plany.

Nauczycielka w zamyśleniu pokiwała głową, ale wciąż patrzyła na mnie jak na kosmitę.

Natomiast w domu dostałem burę.

Po paru dniach ojciec zauważył, że za długo siedzę z książką. Musiał mieć złe dni, bo wpadał do domu zaledwie podchmielony i szukał dziury w całym.

– A ty co?! – wrzasnęła na mnie. – Nie masz nic innego do zrobienia? Matce byś pomógł! Nawet ostatnio sprzedaje kartki na mięso... Nasze kartki!

– Chcę zdawać do technikum...

– Co?! – ryknął jeszcze głośniej – może jeszcze do dziennego?! A do roboty kto pójdzie?! Nie widzisz, że jestem ciężko chory?!

Zgarnąłem książki i zanim ojciec się zorientował już byłem na klatce schodowej. Szczęśliwym trafem miałem przy sobie kluczce od naszej piwnicy. Niedawno zorganizowałem sobie miejsce przy małym oknie, gdzie ostatnio lądowałem gdy ojca za bardzo ponosiło. A parę

dni temu dostawiłem nocny stolik i kulawy taboret blisko prostokątnej szyby, którą nawet umyłem. W dzień mogłem się w tym miejscu uczyć. Wiedziałem, że jeszcze muszę wynaleźć jakąś lampkę, gdyby mnie zastał mrok. Nie miałem pojęcia skąd mam ją wziąć, ale byłem przekonany, że kumple coś wymyślą.

A kumpli miałem wspaniałych. Od lat tworzyliśmy zgraną paczkę, bo znaleźliśmy się od wczesnego dzieciństwa. Często przesiadywaliśmy na ławce pod brzoźką, czyli w samym środku podwórka. Pomimo, że większość ławkowego towarzystwa ciągle się zmieniała, moi kumple stanowili trwałe trzon i to bez względu na porę roku. Zazwyczaj pierwszy przychodził Grabarz. Tak naprawdę miał na imię Gienek, ale kto by o tym pamiętał. Jego ojciec miał zakład pogrzebowy, więc Grabarz zazwyczaj posiadał trochę kasy. A poza tym był urodzonym przywódcą, dlatego traktowaliśmy go jak szefa. Natomiast Cienias nigdy nie śmierdział groszem. Za to miał sprawne palce, więc go Grabarz wysyłał do drobnych kioskowych robót, a konkretnie „na włam”. Nigdy nie wiedziałem po co to obaj robili, skoro Grabarz zawsze mógł Cieniasowi kasę pożyczyć. Ale nie dopytywałem, bo to nie była moja sprawa. Oprócz nich moim ulubionym kumplem był Szymek, zwany Szekspir. Taką ksywę dostał od czasu jak się przy piwku pochwalił, że kiedyś chciałby napisać tomik wierszy. Grabarz dostał kolki ze śmiechu i razem z Gojkiem nadali mu właściwą ksywę. Gojek był Żydem, więc już nie pamiętaliśmy jak miał naprawdę na imię, bo od początku tak na niego wołano. Ogólnie wszyscy go lubili, bo też zazwyczaj był przy kasie, tylko nikt nigdy nie wiedział skąd ją brał. Niestety nie był chętny do pożyczek, ale jak już się z nim potargowało na procent, to potrafił załatwić pokazną sumę. Natomiast do mnie wszyscy mówili Olo, zgodnie z moim imieniem – Aleksander.

Tego dnia gdy uciekłem przed ojcem z książkami pod pachą, zauważyłem przez piwniczne okienko, że kumple zebrali się już w komplecie. Pomyślałem, że godzinka mnie nie zbawi, po czym z powrotem zamknąłem piwnicę na kłódkę i skierowałem się w stronę ławki.

Po męskim powitaniu, usiadłem koło Szekspira i wypaliłem:

– Do technikum będę zdawać.

Spojrzeni na mnie z jeszcze większym zdumieniem niż moja wychowawczyni.

– Na głowę upadłeś? Po co ci to całe technikum? – odezwał się Grabarz, który już od trzech lat rządził u „mechaników”.

– Jemu tak po tej anginie odwaliło – stwierdził Cienias pod moim adresem.

– Może ci stary... antybiotyki zaszkodziły? – spytał Gojek bez owijania w bawełnę.

– To mój kierunek, samochody, przecież dobrze wiecie. A poza tym pomyślałem, że zrobię maturę. Co w tym nadzwyczajnego?

Grabarz się tylko skrzywił, natomiast pozostali kumple zaniemówili.

Ale temat został przerwany, ponieważ ku

zdumieniu wszystkich, a moim w szczególności, zza zakrętu wyłoniła się Mariola z koleżanką. Wiedziałem, że o tej porze ma korki z biologii, bo po maturze wybiera się na medycynę. Najwidoczniej zajęcia przepadły, a pora była na tyle wczesna, że ją tatuś nie musiał przywozić.

– Ale laska z tej naszej Mariolki – westchnął Szekspir.

Pomyślałem, że to oczywiste, bo koleżanka mogłaby jej najwyższej pantofelki czyścić.

Już chciałem coś dorzucić, gdy Grabarz włożył w usta dwa paluchy i wykonał gwizd, który umarłego postawiłby na nogi.

Zaregowała tylko koleżanka i aż przystała wpatrując się w naszą ławkę. Natomiast – ku mojej radości – Mariola nawet nie drgnęła tylko szła dalej, z dumnie podniesioną głową.

– To nie było do ciebie! – rzucił Grabarz w stronę koleżanki, a reszta chłopaków zarechotała zgodnym chórem.

– Co za towarzystwo – prychnęła koleżanka i pogoniła za wciąż idącą sztywno Mariolą.

Jeszcze przez chwilę podążaliśmy spojrzeniem za dziewczynami, równo wykręcając głowę w kierunku narożnej sieni. A potem Cienias strzyknął śliną na dwa metry i podsumował:

– Nie dla psa kielbasa.

Przez chwilę zapanowało ponure milczenie. W końcu odezwał się Grabarz:

– Rżnie królową jakby nie wiedziała, że tatuś kasę nabierał na zarzynaniu nienarodzonych dzieciaków.

Wiedziałem, że Grabarz ma rację. Sławomir Kawecki był wziętym ginekologiem, głównie jednak zasłynął z szybkich i udanych aborcji.

Jeszcze chwilę pogadaliśmy o różnych sprawach. Ale do tematu mojej szkolnej przyszłości, jakoś nikomu nie chciało się wracać. Natomiast lampkę nocną dostałem od Szekspira. Przyniósł mi ją już po godzinie, prosto do piwnicy, gdzie wkuwałem historię Polski.

– Masz tu gdzieś kontakt? – zapytał, patrząc z powątpieniem na moje „nowe biurko i fotel”.

– Doprowadziłem kabel. Tu mam spokój – dodałem widząc jego minę.

– Jasne – skinął głową. – A lampka stała kiedyś u mamy na toalecie.

– Ładna. Ma kolorowy abażur...

Spojrzałem na niego i nagle zapytałem:

– Myślisz, że rzeczywiście nie mamy szans u takich dziewczyn jak Mariola?

– Cuda się zdarzają. Moja mama uważa, że jak się uparcie dąży do celu, to... Ale dlaczego pytasz? Marzy ci się Mariolka?

– A komu się nie marzy?

– Fakt – westchnął. – Bardzo się zmienia. Ładniejszej dziewczyny, tak na żywo, to jeszcze nie widziałem. Ale jestem dla niej przezroczysty.

– Ty też?

– Pewnie. Ona mierzy wysoko. Po maturze zdaje na medycynę. Podobno ma zostać dentystką. Tatuś ginekolog, już wykupił lokal w centrum miasta. Oczywiście na jej gabinet.

– Skąd wiesz?

– Mama jest jego pacjentką – pochwalił się.

Tylko westchnąłem. I tak nie mogłem przestać o niej myśleć. Ale jednocześnie wiedziałem, że tak szybko się nie poddam.

Do technikum zdałem bez problemu. Co prawda świadectwo nie było najlepsze, a obniżone zachowanie nie wywołało entuzjazmu. Ale sam egzamin wstępny poszedł mi na tyle dobrze, że komisja uznała, że można dać mi szansę. Mama ucałowała mnie w czoło i powiedziała, że mam się o nic nie martwić. W razie czego weźmie dodatkowe sprzątanie. Stwierdziła, że woli spędzać czas pucując cudze mieszkania, niż płakać w naszym małym, parterowym mieszkanku, gdzie rządzi wiecznie pijany mąż. Pamiętam, że wtedy po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że powinienem jej jakoś pomóc. Nie bardzo jeszcze wiedziałam jak, ale nagle poczułem się współodpowiedzialny za naszą fatalną sytuację.

Z chłopakami nadal utrzymywałem kontakt, chociaż zacząłem się przyjaźnić z Waldkiem, kumplem ze szkoły. W kwestii zawodowej miał podobne marzenia do moich. Również chciał otworzyć warsztat samochodowy, ewentualnie salon sprzedaży, to zależało od sytuacji. Miał lepsze perspektywy niż ja, ponieważ jego ojciec był stolarzem i jak się szybko zgadaliśmy – robił trumny dla taty Grabarza. Waldek więc biedy nie klepał i w związku z wspólnotą interesów, przedstawiłem go moim kumplom. A w szczególności Grabarzowi. Co prawda szkolny kolega i to z technikum mógł budzić kontrowersje, ale w takich okolicznościach wszyscy stwierdzili, że to zabawne, że ojcowie robią w pokrewnych branżach. Grabarz przywitał się więc z Waldkiem jak ze starym kumplem.

Od czasu do czasu, przesiadywaliśmy wszyscy razem na „naszej ławce”. Gadaliśmy najczęściej o dziewczynach lub snuliśmy plany na przyszłość. Zazwyczaj to ja i Waldek opowiadaliśmy o przyszłym i wspólnym biznesie, podczas gdy reszta kumpli wciąż nie bardzo wiedziała, co ze swoim dalszym życiem począć. Bywało, że dołączały do nas jakieś dziewczyny. W szczególności Elka spod trzynastki, córka rozwiedzionej „tancerki egzotycznej”, która lubiła siadać koło Grabarza. Tylko on mógł ją od czasu do czasu obmacać, co skwapliwie robił, objaśniając przy tym każdą czynność na głos.

Elka twierdziła, że za niedługo podobnie jak jej matka, będzie tańczyć na rurze, bo dzięki temu utrzyma figurę i zarobi kasę. Oczywiście pracować będzie do czasu, ponieważ w niedalekiej przyszłości zakocha się w niej fantastyczny gość, który niczym książę uczyni z jej życia jedno pasmo miłosnych uniesień. Facet będzie przystojny jak Gregory Peck i forsiasty, co było oczywiste.

cdn.

Nieznane jutro poszukiwaczy słów

(Dokończenie ze strony 4)

*Życie jak list wrzucono do skrzynki
pocztowej:
przed chwilą był twój,
a już przepadł, za twoją zgodą,
w innym świecie,
który ma granice z żelaza.
Wydostać go nie sposób.
Tyle płacisz by mógł zanieść
ciebie
do drugiego człowieka.*

Jest w tym cała esencja i istota poezji Pawła Kuszczynskiego, czyli poezji szukania prawdy. Tej jednej jedynej Prawdy, której nie da się odnaleźć. Tym też jest szukanie Boga. Bóg jest – zawoła. Poeta ma oto i obowiązki, nie tylko prawa. Musi uniknąć fałszu. Musi być dzielny, męski, zdusić w sobie lęk, ból i gniew. Opanować puste egzaltacje, aby w ciszy dotknąć prawdziwości, aby zakwitła w sadzie, jak wiosenna jabłoń. Aby zachwyty był zachwytem, a człowiek człowiekiem.

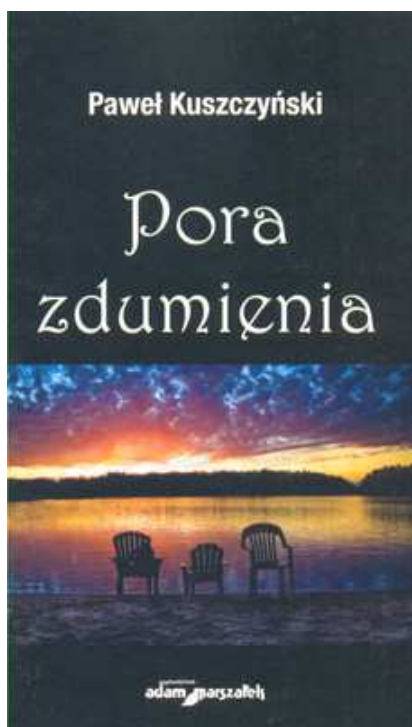
Wydaje mi się, że Pawłowi Kuszczynskiemu się to wszystko udało. „Porą zdumień” przekroczył kolejny Rubikon (ileż to już ich było, w naszym poetyckim życiu, ...no ba, a ileż ich jeszcze przed nami). „Porą zdumień” uwodzi nas wyrafinowaniem i z gracją, zabiera w swój świat, który może być i twoim światem. Dzięki temu zabiegowi relacja z czytelnikiem nie pozwala odłożyć tego tomu wierszy obojętnie. Paweł pozostawia w nas swój ślad, odcisk pazura, znamię na duszy. „Ból wiecie mnie / do poezji” wyznaje. Aż dogłębnie nas przejmujemy w wierszu... no właśnie... bez tytułu (ale to jakże właściwe, gdyż sam nie wiem czy zdołałbym znaleźć dlań tytuł).

*Czego ja nocy nie obiecuję,
rano gubiąc przygotowaną
odповідź.
Ustają wszelkie rozmowy,
tylko słychać pohukiwanie sowy
wśród ruin
zamkowych.
Oczy nie uciekną odpowiedzi.
Przywołuję smak antonówek
na ściemniających zębach,
które
utraciły biel
dzieciństwa.
Nie podzielę się
nieznanym jutrem,
jedyną wartością
jaką posiadam.
Choćby trochę godności
na resztę godzin.
Wyprostować się
na chwilę
i ujrzeć ciągle niezapisane
niebo,
które niestudzenie
ukrywa Boga.*

Czyli poezja „to ciągle niezapisane Niebo”, nasze niebo – niebo poetów. Bóg milczy, a zastępy filozofów i teologów przez wieki zmagano się z tym milczeniem. Nam też go nie oszczędzono, ale my słyszymy to, czego inni ludzie nie słyszą... My słyszymy to... o czym próbujemy Wam napisać. Ale tylko próbujemy. Jedyną wartością jaką posiadamy jest nieznane Jutro. Mgliste, zimne, bezkształtne jutro Poszukiwaczy Słów...

I dlatego piszemy.

ANDRZEJ WALTER



Paweł Kuszczynski, „Pora zdumienia”. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2012, s.100.

Chwała i grzech istnienia

Jest takie powiedzenie, że zbyt dużo poezji może się okazać dawką śmiertelną. „Grzech. Przywiersze” **Isaaca Jacobovsky'ego** to 261 stron wierszy. Przysięgam, że przeczytałem od deski do deski – i przeżyłem. Wszystko bowiem zależy od jakości utworów, od tego czy autor ma coś ważnego do powiedzenia, i mówi to w sposób ciekawy i odkrywczy. A Jacobovsky właśnie ma.

Przed wszystkim jest to poezja o niespytykanej gęstości znaczeń, symboli, odniesień. Mówi nie tyle o losie człowieka (choć także), ile o jego miejscu w otaczającej rzeczywistości. I o pewnej determinacji. Oto – jak czytamy w jednym z wierszy – mamy przed sobą wszystkie ścieżki. Główne są nieuczęszczane,

inne dla samotnych kobiet, jeszcze inne dla „mężów, żon i zwierząt domowych”. Poeta zwraca się do adresata lirycznego (wydaje się, że to najpewniej on sam jest tym adresatem) i konstatuje, że w zasadzie nie ma którędy iść. Powiada:

*Jesteś w sytuacji bez wyjścia
zapewne świat potrwa jeszcze bez zmian
byś nie mógł mu zarzucić pozorów (s. 15)*

Po co istnieje świat, w jakim celu jest czas? Dlaczego to wszystko nas osacza? Tego rodzaju pytań filozoficzno-egzystencjalnych poeta stawia mnóstwo. Nie szuka na nie odpowiedzi. Ogląd świata u Jacobovsky'ego jest jakby od wewnątrz. Poezja nie może wszystkiego wytłumaczyć i choćby z grubsza ogarnąć. Perspektywa ludzkiego poznania ma przecie granice.

To wszystko stanowi „podłoże” poezji Jacobovsky'ego. Utwory te nie są – wbrew pozorom – traktatami filozoficznymi, tylko najczystsza poezja korzystająca ze wszystkich barw języka, skojarzeń, znaczeń. Zderzają słowa w sposób niespotykany, aby odkryć w nich nową jakość. Nie znajdziemy tu żadnego przerostu formy nad treścią. Owszem, poeta bawi się słowem, ale robi to w określonym celu. Nie na zasadzie wysypywania klocków z pudła, by napawać się ich kolorami. On je wyjmuje świadomie i dobiera tak, aby wzmocnić przesłanie wiersza. Oto jakże wymowny przykład:

*Bóg wydłuża nam czas
w nieskończoność
wyszukując pomiędzy łzami
odpowiedniego ułożenia
tęczy (s. 14)*

(Tu mała uwaga: wszystkie wiersze są bez tytułu, oznaczone sześcioma gwiazdkami, dlatego podaję tylko numery stronic). Ta – jak na poezję, olbrzymia – książka, gromadzi trzy tomy, już poprzednio wydane. Dwa pierwsze „Coś nieokreślonego” i „W ogrodzie nadziei” składają się z trzech cykli, a trzeci, „Prawo do wzajemności” – z dwóch. Obecny zbiór „Grzech. Przywiersze” stanowi edycję zbiorową i – jak czytamy na stronach tytułowych – zmienioną.

„Coś nieokreślonego” zawiera utwory o wyraźnych znamionach liryki osobistej. Nie ma tu jednak żadnej niekontrolowanej erupcji uczuć i emocji, ani jednego pojęcia, które by należało do używanych w tego rodzaju poezji rekwizytów. Jacobovsky – co ważne – jest oryginalnym twórcą swojego własnego języka, ma określony sposób obrazowania, i ten – wydawałoby się – spokój wewnętrzny, który jednak potęguje moc i ekspresję poetyckiej wypowiedzi, kondensuje ją, czyniąc zarazem szalenie dynamiczną. Dystans, pewna ironia, wyczułony zmysł obserwacyjny – to cechy wszystkich utworów Jacobovsky'ego. Poeta powiada:

*Mój obraz świata
pełen jest zapachów
wiele z nich pochodzi z oddechu młodych kobiet
część ze spokojnych dłoni (s. 30)*

Nie bez racji mówi o znaczeniu miłości pełnowymiarowej – duchowej i fizycznej – w ten sposób:

*Mdle zapachy
wprost z zachęty do owulacji
wdarły się między okładki
filozoficznych arcydzieł (s. 30)*

Zakończenie cytowanego utworu jest kapitalnym uogólnieniem. Wielowymiarowym – bo żaden wiersz Jacobovsky'ego nie jest płaski, jednoznaczny, dotyczący jednej, czy może lepiej: jedynej sytuacji lirycznej. Przeczytajmy:

*Pamięć gromadzi
smakowe oznaki miłości
dowód na wielkość Boga
który pozostawił we mnie
troszeczkę atawizmu*

Nie bez powodu przytoczyłem wiersz w całości. Widać tu bowiem wyraźnie cechy poezji autora „Grzechu”: głębokie spojrzenie na rzeczywistość, na samego siebie, określanie kondycji świata i człowieka poprzez słowo, poprzez język, który – jako tworzywo literackie – domaga się ciągłego odświeżania. A od kogo ma się domagać, jak nie od poety właśnie?

Wiele w tej części jest wierszy przejmujących swoją ostrością, mądrością, poetyckimi odkryciami i wzruszeniami. I będę przez cały czas powtarzał, że język tej poezji pozostaje bardzo precyzyjny; do tego stopnia, że przeprowadza czytelnika przez gąszcz znaczeń, udostępniając mu najbardziej ukryte przesłania.

Znamienne, że sposób zapisu wiersza, metoda podejścia do poetyckiego tworzywa wydaje się we wszystkich wierszach taka sama lub bardzo podobna. Różnice polegają na sięganiu do odmiennych kręgów tematycznych i na urozmaicaniu napięć emocjonalnych.

W „Ogrodzie nadziei” mamy m.in. wiersze sięgające czasów dzieciństwa. Tamten okres jest czymś w rodzaju fundamentu dla „dorosłej” refleksji, zarazem świadectwem pogodzenia się z losem, z przemijaniem – ale też nie do końca. Dalej trwa niekończący się dyskurs z rzeczywistością, sobą samym, Bogiem i – oczywiście – znowu ze słowem, które w różnych konfiguracjach zaskakuje, odkrywa ukryte znaczenia, przestrzenie, a potem tworzy jedną całość – wiersz.

Ostatni tom „Prawo do wzajemności” okazuje się chyba najbardziej wstrząsający. Jednym z wyraźniej zarysowanych kręgów tematycznych jest tutaj refleksja nad korzeniami własnymi i swojego narodu, historią, biblią, holocaustem. Isaac Jacobovsky, tak jak w poprzednich wierszach, pozostaje tutaj powściągliwy, nie ulega emocjom. Stara się

jakoś zdefiniować sens istnienia narodów, człowieka, śmierci, okrucieństwa, wydziedziczenia. Wszystko to przedstawia z filozoficznym dystansem. Wskazuje, że konsekwencje dziejów mają wpływ nie tylko na nasze życie, ale i przyszłych pokoleń – jakby to wszystko było niezbywalnie zakodowane w nas: w naszej psychice, w naszych genach.

*Czy ludzkie lzy mają wymiar historyczny
kto je policzy i po co one komu
są przecież zaledwie wyrazem słabości
i nie naruszają porządku świata (s. 206)*

Ten utwór wykracza w swojej tematyce poza czas i przestrzeń, jest bowiem skierowany do Absolutu. Może nie wprost – ale możemy to odczytać jako intelektualną (bo nie tylko emocjonalną) pretensję, że oto metafizyczne przyzwolenie na zbrodnie doprowadziło do zagłady.

Powie też poeta:

*Dzisiejsze domy są zamknięte
po co pamiętać tyle znaczeń
w Edynburgu nie ma ulicy Zgierskiej
z kładką w Litzmannstadt Ghetto
(...)
a Synagoga ze Spacerowej
Jest doskonale niewidoczna (s. 218)*

A jednak to, czego już nie ma, trwa dalej – w nas. W naszej miłości, spojrzeniu na świat, stosunku do ludzi... Wszędzie. Są to bowiem doświadczenia niezbywalne, odcisnięte na pokoleniach w sposób niezarty, bardziej dotkliwie niż obozowy numer. I wie o tym poeta. To w nim tkwi. O tym pisze. Wiersze nie epatują retoryką, cierpiętnictwem, lamentacjami. Dramatyczne wydarzenia, trauma dawniejszych, ale i dzisiejszych czasów, stanowią najgłębsze podglebie tej całej poezji, przebogatej w znaczenia, metafory; poezji kreującej zupełnie nową rzeczywistość, ale czerpiącej z bagażu historycznych, tragicznych doświadczeń wielu pokoleń.

Należy zaznaczyć, że jest to – jak pisałem wcześniej – poezja tak wielowątkowa, że nie sposób w krótkiej recenzji opisać ją całościowo. Stąd skrótowość niniejszego wywodu. „Grzech. Przywiersze” – jako ważna książka poetycka – prezentuje nowatorskie spojrzenie na rzeczywistość i poetyckie tworzywo.

STEFAN JURKOWSKI

Isaac Jacobovsky, „Grzech. Przywiersze”. Wydawnictwo Pisarze.pl, Warszawa 2013, s. 262.

O VI słowiańskim festiwalu słów parę

W styczniowym numerze „Gazety Kulturalnej” z br. Stefan Jurkowski pisze o swojej

podróży do Londynu „w ramach dalszego ciągu Festiwalu Poezji Słowiańskiej”. Warto jednak przypomnieć jego początek. U nas, w Polsce...

Jadąc na Festiwal, w warszawskim metrze na tablicach City Info miga mi nagle przed oczyma napis „Między nami Słowianami”. Zachęca do nauki języków słowiańskich. Każę przyswoić sobie np. zwrot: „Będę za ciebie trzymać kciuki”. Za kogoż to? Czyżby za poezję, za VI Festiwal Poezji Słowiańskiej, który rozpoczął się 11 listopada 2013 roku w Klubie Księgarza na Starym Mieście? Celowa to promocja poezji w metrze czy tylko przypadek? Z różnych źródeł wiadomo, że pani Prezydent stolicy nie lubi poezji, zwłaszcza tej, którą promują członkowie ZLP. Ale na bok żal wszelaki.

W staromiejskim Klubie Księgarza „Międzynarodowy koncert poetycko-muzyczny przy samowarze” był bardzo udanym wstępem do kilkudniowych spotkań z poetami z Białorusi, Serbii, Rosji, Ukrainy, Bułgarii, także z Polski.

A wielce artystycznie były solowe wystąpienia młodziutkiej Julii Gabrieli Naliwajko, mieszkanki Białorusi obdarzonej pięknym głosem i naturalną charyzmą. Wróżymy jej muzyczno-wokalną karierę! I będziemy pamiętali, że rozpoczęła ją podczas VI Festiwalu Poezji Słowiańskiej, którego głównym organizatorem i pomysłodawcą pozostaje niezmiennie Aleksander Nawrocki, także wydawca, poeta i redaktor naczelny „Poezji Dzisiaj”, jedyne pisma w Polsce poświęconego w całości liryce polskiej i obcej!

Ważną częścią tamtego dnia, przy wypełnionej publicznością sali, było spotkanie z dr. Aleksandrem Petrowem, urodzonego w Serbii w 1938 roku, jednego z gości specjalnych, przyjaciela Miłosza i Brodskiego, autora wielu powieści i tomów poezji, uczonego, laureata wielu prestiżowych nagród literackich.

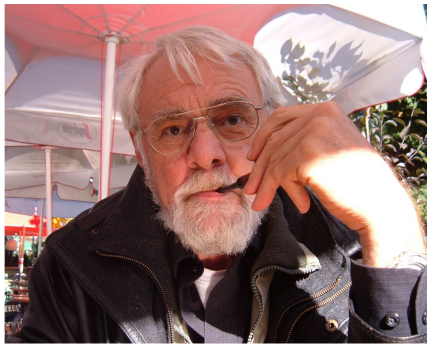
Słuchaliśmy też wierszy białoruskich poetów: Walerego Hapieju, Maryji Kobierc, Anatola Krejdzicza, Jana Czikwina czy Anatola Szuszki, wsłuchując się w brzmienia białoruskich słów, pamiętamy, że tej mowy od urodzenia słuchał nasz wieszcz Adam, i że to właśnie Mickiewicz język, którym porozumiewano się w okolicach Nowogródka, podniósł do rangi języka narodowego, literackiego; używamy go do dziś. Och, jakże mało znamy tę poezję, jej kadencję zdania, energię, tradycję, słowiański rytm!

Także polscy poeci: Bolek, Jurkowski, Kozieł, Kubiak, Paruszewski Walczak, Węgrzynowicz-Plichta i inni mieli okazję, by poetycko przedstawić się słuchaczom.

Mogliśmy także zajrzeć do najnowszych numerów „Poezji Dzisiaj”, do nowej antologii poezji białoruskiej i jeszcze świeżutkich, prosto z drukarni pojedynczych tomików zaproszonych poetów.

(Dokończenie na stronie 12)

Zamyślenia



Za czym kolejka ta stoi?

*Za czym kolejka ta stoi?
Po szarość, po szarość, po szarość!
Na co w kolejce tej czekasz?
Na starość, na starość na starość...*

Krajobraz jak po bitwie... kolejki. One mówią coś, komuś. Trzeba postać i przecze-kać. Czasami taki wysiłek przynosi rozwiązanie i owoce. Kolejka, to sprawa odbioru czegoś. Kiedyś odchodziło się od nich z kwitkiem, bo zabrakło. Teraz nie brakuje. Stajemy więc w kolejce, ale nie dostaniemy, bo za darmo nic nie ma. Kolejki dane nam jako łaska. Po trudach codzienności i kłęk życiowych, stajemy w kolejce po bilet w jedną stronę, jako uchodźcy z tego kraju nonsensów, a uchodźstwo, to brzmi gorzko. Coś wiem na ten temat. Dla młodego uciekiniera, emigracja ma kształt kolorowego ptaka z rozpostartymi skrzydłami. Teraz patrzymy na niego z zachwytem. Ale już tam uwidatnia się i wydobywa na jaw to, co tkwi w nas najgłębiej – strach. Jak dam sobie radę z tym wszystkim? Za progiem ojczystego domu oślepi nas to światło demaskujące, okrutne. Jestem tu obcy, niechciany. Na początku wszystko tam będzie kolorowe, w dobrym gatunku. Inny świat bez szarości, bez tandety. Błysk flesza. Wszystko w dobrym gatunku, dobrze zorganizowane, z dobrej, cywilizacyjnej materii mądrości polityków i ekonomistów. I ta zachodnia cywilizacja chce nas pogłaskać po głowie, ale już w tym geście jest coś wzniosłego i pogardliwego. A potem, powiedzą, że jesteśmy dla nich kłopotem, ciężarem i trudem. Prawie jak w ojczystym kraju, gdzie zapewniano nieustannie, że jesteśmy szczęściem, radością i nadzieją. Ba, przyszłością narodu, nawet świata. A przecież tak nie było i nie jest.



Wygania nas bieda i to, że czujemy się balastem społecznym. I ty, i ty, i on. I tamten. Wszyscy jesteśmy kłopotem głupio rządzonego państwa. I w tym niby zwykłym zamknięciu drzwi za sobą, zabrzmi nagle coś złowieszczonego i nieodwołalnego. Zatraca się sens własnego istnienia. Kolejki na dworcach autobusowych, w wymuskanych poczekalniach lotnisk. Stosy podróżnych toreb pełnych niczego po iluś tam latach życia, życia bez nagrody. Tak łatwo dają wam stąd odejść, a przecież to powinno ich przeklinać do końca za kształt waszego losu. Patrząc, jak wyglądając radośnie na nowych plakatych wyborczych, bilbordach. Czas zasypia ich winy. Jak ciężko jest żyć pod ruinami domu. Kolejki po szarość. A tam konfesjonał. Nie ma kolejki. Tylko ta stara, znękana życiem kobieta. Więc ty, biedaczko, jeszcze żyjesz?! To bohaterstwo w tym moim głupim kraju...

KAZIMIERZ IVOSSE



Kazimierz Ivosse

Tak się nie mówi

*Tak się nie mówi – do widzenia,
Nie można wyjść ot, tak
W połowie snu i w pół marzenia.
Jeszcze wiruje Twoja płyta,
Jeszcze się Tobą ekran pali.
Pod zimnym światłem gwiazd,
Jak ciężko żyć tym, co zostali...*

Herzliche, Anteilnahme von A.E.H.

Kochanie tak się nie mówi – do widzenia
Przez sen marcowy przesącza się mój ból –
W nim spłoszonego ptaka oszalałe krążenie
A krwi wzburzonej za ciasno wśród żył

W ziemię się zapadł nasz tułaczy dom
I wyschło źródło mojej nadziei ocalenia –
Odeszłaś jakby z nieba uderzył w nas grom
Nie mówi się tak po prostu – do widzenia

Pozostała mi jedynie ta ostatnia zwrotka
Nie mam nic już więcej do powiedzenia –
Stukot serca zastąpi znak... wielokropka
Postoję jeszcze chwilę z rękami w kieszeniach



O VI słowiańskim festiwalu słów parę

(Dokończenie ze strony 11)

W 2013 roku gośćmi honorowymi Festiwalu byli poeci z Białorusi, a stawilo się ich aż dziesięciu. Nie mieli przeszkód, by do nas przyjechać, by recytować swoje wiersze o miłości, szczęściu, urokach przyrody, ale także o codziennym zwyczajnym życiu, czy jego mniej przyjemnych stronach.

Ważną częścią tego spotkania, po części oficjalnej, były liryczne rozmowy przy samowarze, lub też blisko niego. I próbowanie, smakowanie wina oraz... pieczywa ze smalcem, jednej ze specjalności Klubu Księgarza, którego działalnością od wielu już lat kieruje niezawodny Jan Rodzeń.

Następnego dnia w Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza, a więc tuż obok Klubu Księgarza, odbyła się uroczysta inauguracja VI Festiwalu Poezji Słowiańskiej, w której oprócz kilkudziesięciu poetów wzięli udział przedstawiciele zaprzyjaźnionych ambasad i ośrodków kulturalnych z Białorusi czy Bułgarii, także młodzież licealna.

Wielką estymę okazano niestrudzonej tłumaczkze z języka białoruskiego na polski Mirze Łukszo, która jest również znaną poetką, także raz jeszcze dr. Petrowowi.

Na to spotkanie z poezją, z poetami, pracownicy Muzeum Adama Mickiewicza w Nowogrodzku, które niegdyś odwiedziłem, przygotowali wystawę poświęconą obecności „Dziadów” Mickiewicza na Białorusi.

Było więc bardzo poetycko, i bardzo muzycznie (znowu niezawodna Julia Gabriela Naliwajko).

Wymienić wszystkie imprezy Festiwalu i nazwiska wszystkich gości nie sposób, ale warto zauważyć m.in. wyjazd poetów do Żyrardowa i spotkanie w Resursie z władzami miasta, to przykład żywego dialogu z pisarzami, którego tak brakuje w stolicy.

Słowiańscy poeci w dniach 13-15 listopada 2013 roku zawitali także do takich miast jak Połaniec, Ostrołęka, Kielce, Kraków, Czechowice-Dziedzice czy Bielsko-Biała, a wszędzie z poetyckim żywym słowem, tym słowem, które łączy serca i dusze, gdyż jak napisał Aleksander Nawrocki najlepiej „Poznajemy się poprzez poezję. Obca niech nam będzie izolacja i wzajemne podgryzanie się, gdziekolwiek, bo to przecież podłe i świadczy o małości osób to czyniących. Wychodzimy w przestrzeń polską i europejską”.

A dlaczego europejską? W tym roku Festiwal miał oprócz wydania polskiego, także londyńskie, o którym napomknął Stefan Jurkowski w swoim felietonie.

Stanisław Grabowski

BADŹ CO BADŹ



Strach przed ironią

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy nieznanymi sprawcami przewrócili i ułamali nogę jednej z bezgłowych figur, składających się na projekt „Nierozpoznani” autorstwa Magdaleny Abakanowicz, znana pisarka i popularyzatorka surrealizmu, Agnieszka Tabor-ska, na łamach „Gazety Wyborczej” wyraziła niepokój i szczere ubolewanie z powodu śmiertelnej powagi odbiorców współczesnej sztuki. I wcale się jej nie dziwię, bo kryzys recepcji ironii i czarnego humoru zawarty w surrealizmie pogłębia się z roku na rok, a jego stara wykładnia pozostaje niezmienna.

IGOR WIECZOREK

Większość historyków sztuki zgadza się co do tego, że na początku lat 20, kiedy surrealizm się rodził, państwo polskie było młode i słabe, a przecież jednym z głównych postulatów surrealizmu był bunt przeciwko państwu. Słabość państwa polskiego zobowiązała artystów do obrony tożsamości narodowej, a owo zobowiązanie wzbudziło w nich wielką powagę, jakże daleką od sznyderstwa i makabrycznych żartów zachodnich surrealistów.

I można by na tym poprzestać, gdyby nie pewien szkopuł. Bo jak wytłumaczyć fakt, że ten historyczny konflikt między śmiertelną powagą bojowników o wolność w jej politycznym wymiarze a wiecznie młodą ironią bojowników o wolność w wymiarze psychologicznym, ciągnie się blisko sto lat? Czyż państwo nie może być silne zarówno powagą tradycji, jak i gorzką ironią młodych obywateli, a nie ich stuletnim rozbratem?

A może prawdziwych przyczyn coraz głębszego kryzysu recepcji gorzkiej ironii i czarnego humoru należy szukać gdzie indziej, na przy-

kład w panicznym strachu przed siłą podświadomości, którą surrealiści świadomie eksploatują i prezentują widzom w swych onirycznych obrazach?

Wybitny historyk sztuki, Hans Belting, od dawna lansuje tezę, że obraz zrodził się i zagwarantował sobie miejsce w przestrzeni publicznej dzięki kultowi zmarłych, jako swoiste medium ciała, co musi prowadzić do wniosku, że obraz dopiero wtedy staje się obrazem, gdy jest ożywiony przez widza. Tak rozumiany obraz jest bytem ponadczasowym, ale nie beczasowym, czyli – innymi słowy – jest bytem nadrzeczywistym. To pewnie właśnie dlatego tak trudno się z nim uporać bez odniesienia do jakiejś uniwersalnej zasady, która z natury rzeczy nie mieści się w żadnym obrazie.

H. Belting uważa ponadto, że zarówno kult obrazów zwany ikonodulią, jak i jego zjawisko przeciwne, czyli niszczenie obrazów zwane ikonoklazją, są tylko dwiema stronami tego samego medalu – władzy obrazu nad człowiekiem. Jesteśmy we władzy obrazów, których nie rozumiemy, bo postrzegamy je różnie, zależnie od punktu widzenia.

A jakże znamienity jest fakt, że właśnie ta nasza odrębność w postrzeganiu obrazów, których w rzeczonym sensie współautorami jesteśmy, jest leitmotiwem nikczemnie uszkodzonego zespołu wyniosłych, bezgłowych figur autorstwa M. Abakanowicz.



Te pompatyczne figury zmiernają w różnych kierunkach, lecz mają wspólny kregosłup. Nie widzą siebie nawzajem, a jednak stanowią tłum, anonimowy tłum.

Komu zagraża ten tłum? Prawdopodobnie komuś, kto nie wie, czym jest ironia. Ten ktoś jest normalnym człowiekiem, lecz sądzi, że staje się rzeźbą, na domiar złego, bezgłową. Widzi, że tłum go pochłania, więc stawia zaciętkły opór. Nie jest ikonoklastą ani ikonodulem, ale ikonofobem. Uzdrowić go może jedynie solidna dawka ironii, a problem polega na tym, że trudno ją zaaplikować.

Gdyby nieszczęsny wandal był uzdolnionym rzeźbiarzem, to mógłby wyleczyć się sam, tak jak Jean Tinguely, wybitny szwajcarski twórca samoniszczących się rzeźb. Ten niepopolity człowiek długo cierpiał z powodu powszechnej, głębokiej wiary w ponadczasową moc rzeźb. Drażniła go pycha twórców konkurujących ze śmiercią i ujarzmiających czas. Po wielu latach udręki spróbował się im sprzeciwić. Z podziwu godną finezją dał upust swojej frustracji a jednocześnie ambicji, tworząc „autodestrukty”, czyli zabawne maszyny o

artystycznych kształtach, które wzbijały się w niebo, a potem spadały na ziemię i bardzo spektakularnie, często z ogromnym hukkiem, obracały się w proch. Dzięki „autodestruktom” J. Tinguely wrócił do zdrowia i – co szczególnie ciekawe – zrobił światową karierę jako wybitny rzeźbiarz, piewca tymczasowości. A jednak minął się z celem, który sobie postawił, bo wielki ładunek ironii zawartej w „autodestruktach” nie obrócił się wniwecz i nadal szybkuje w przestworzach ponowoczesnej kultury. Jak ją sprowadzić na ziemię? Tego niestety nie wiemy, bo drąży nas strach przed lataniem.

Pół wieku poetyckiej wierności

Stanisław Nyczaj (ur. w 1943 roku w Nowicy k. Kałusza, Małopolska Wschodnia) zawsze imponuje rozmachem swych dokonań; jest poetą, prozaikiem, autorem kilkudziesięciu książek, prezesuje kieleckim literatom, jest animatorem regionalnego i ponadregionalnego życia literackiego. Trudno mu dorównać. Najnowsza książka poetycka Nyczaja nosi tytuł „Arcymiarą” i jest ukoronowaniem 50-lecia twórczości pisarskiej. Ten złoty jubileusz stawia Nyczaja zasłużenie w czołówce pisarzy polskich, do których należy przykładać, arcymiarę przywołaną trafnie ostatnią publikacją.

Będąc wierny swemu poetyckiemu powołaniu budzi podziw z wielu powodów. Przeżył gehennę i tragedię Kresów. Milczał na ten bolesny temat. Z tego powodu rozstrząsywał na najwyższy szacunek. Nie chciał rozdrapywać ran! Dopiero teraz, w „Arcymiarze”, znaleźć można wiersz, kresowy tren. Trzeba go zacytować w całości:

Ocaleni

Drżącą, lecz i łakomą niemowlęcą dłonią,
garnącą się na osłep ku wielkiemu światu,
pochwyciłem w lot z dmącej eskadry bombowców
i poświstu topora w pięści banderowca
los mój niepewny, srogi – bym zdołał oswoić?

Bomby rozdarły północ grzmącym błyskiem w dali.
W sztok pijany oprawca, potknąwszy się, chybił,
zarył spienioną krzakiem nienawiści twarzą
w węglarkę, skroń kaleczącą o drzewiczki pieca.

w jednym momencie ze mną wtulonym w ramiona
udało Ci się wymknąć, choć strach dławiał gardło,
i ująć mściwej pogoni w gęsty las ku miastu.

– Nie pamiętam już, synu – mówiłaś po latach –
jak, zmarznięta, zmęczona dobrnęłam do naszych
i świt ozłocił radość, że ocaliliśmy.

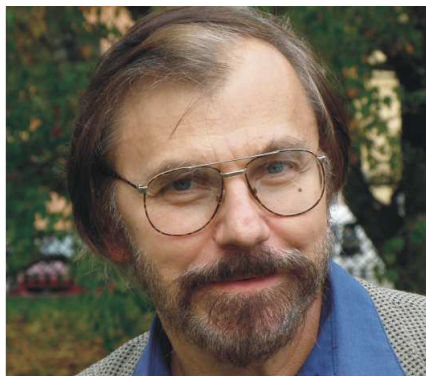
Zaciskam los mój w dłoń, Manio, oblaskawiam
lęki, bo wart wszystkiego, co byś mi życzyła.

(sierpień 2010)

Powyższy tekst to cenny aneks do dwóch książek: „Czarna księga Kresów” i „Wołyń we krwi 1943.” Autorką obu jest Joanna Wieliczka-Szarkowa.

Emil Biela

Listy do Pani A. (68)



Wiosna i poezja

Droga Pani!

Coraz więcej osób przychodzi do Bibelotów na poetyckie spotkania. Wśród autorów jest wielu, którzy starają się o to, aby tam wystąpić. Niestety, mam tylko jeden dzień w miesiącu, czyli – jak, nawet mnie, łatwo obliczyć – rocznie mogą zaprezentować dziesięciu autorów, odliczywszy dwa miesiące wakacji. Atmosfera jest świetna. Na spotkaniu z Aleksandrem Nawrockim było dużo słuchaczy. Staram się zapraszać tych poetów, którzy umieją nawiązywać kontakt z publicznością i mają coś ciekawego do powiedzenia. A Nawrocki potrafi. Przede wszystkim jest erudytą i bardzo dobrym poetą, a także tłumaczem. Wywiązała się rozmowa, spotkanie trwało dosyć długo, wszyscy byli zadowoleni. I o to chodzi, bo te spotkania organizuję dla publiczności, nie zaś dla samych poetów. Ani też dla siebie. Chociaż... Mam nadzieję, że się Pani na nich pojawia, dyskretnie ukryta za kotarą... I to jest poważna motywacja.

Pani obecność jest przecież bardzo inspirująca. Cieszę się za każdym razem, że to nie moje spotkania, choć z drugiej strony chciałbym, aby Pani posłuchała moich wierszy. Piszę inaczej, niż kiedyś, w zamierzonych czasach, czyli w roku 1969, kiedy dopiero wydałem swój pierwszy mały tomiczek „Wibracje”.

Pamiętam, że z okazji ukazania się tego zeszytu miałem w Domu Literatury spotkanie autorskie w Kole Młodych, do którego wówczas należałem. Byli na nim m.in. Wiesław Sadurski, Krzysztof Karasek, Krzysztof Mrozowski, Ryszard Kozłowski ze swoją Kasią, Jurek Górzanski, Kazik Ratoń... Przed spotkaniem, abym się pozbył tremy, bo to był mój pierwszy w życiu taki występ, poszliśmy z Kazikiem na piwo. Gdy zaczęło się spotkanie, pewny siebie zacząłem czytać. Kiedy przeczytałem wiersz zaczynający się od słów: „las powiedzieć – i staje przeogromny”, wiara zarechotała. Już wiedziałem, o co chodzi. Potem zmieniłem „staje” na „zjawia się”, aby uniknąć niewczesnych skojarzeń. Od tej chwili zacząłem zwracać baczną uwagę, aby unikać zbitkę językowych, dwuznaczności i ewentualnych niezręczności. Ale Pani z pewnością nic by się nie skojarzyło...

Kiedyś miałem spotkanie w Klubie Inteligencji Katolickiej. W pewnym momencie powiedziałem coś, co wywołało zgorszenie. Stwierdziłem mianowicie, że gdyby ktoś pod wpływem moich

wierszy popełnił samobójstwo, to bym się cieszył, bo świadczyłoby to o sile oddziaływania wierszy. Chodziło mi tylko o tę siłę. Oczywiście ten ktoś mógłby też zapłonąć wszechogarniającą miłością do ludzi i świata – ale tego już nie powiedziałem. Więcej mnie do KIK-u nie zaproszono, ale wiersze w „Więzi” później drukowałem, kiedy dział poezji jeszcze prowadził tam Jerzy Krzysztoń. To był koniec lat sześćdziesiątych.

A niedawno, kiedy ten ówczesny „piękny dwudziestoletni” idąc na posiedzenie Prezydium ZLP wszedł do hallu przy schodach ruchomych wiodących do Trasy W-Z, okazało się, że nie jest ani piękny, ani dwudziestoletni... Rozmawiałem przez telefon komórkowy, miałem słuchawkę w uszach, wszedłem tam, by się ogrzać i dokończyć rozmowę, zanim wejść do Związku. Stałem sobie przy szybie, gadam, i nagle słyszę: „czy pan jest bezdomny?” Odrzucam się, a to policjant, właściwie zupełnie gówniarz w czymś czarnym i zielonej kamizelce. Może to był uczeń jakiejś szkoły średniej o profilu policyjnym. Powiedziałem mu, że mieszkam w wielu domach. Już chciałem dodać, że „w domu Ojca mego jest mieszkań wiele”, ale i tak by nie zrozumiał. A on na to, że ja tu tak krążę. Odrzekłem, że nie krążę, i żeby mi nie przeszkadzał. „Jak pan skończy proszę podejść do nas (stała gdzieś jakaś grupka) to pana wylegitymujemy” – i odszedł. Skończyłem rozmowę i spokojnie wyszedłem na ulicę, po chwili zniknąłem w przyległej sieni Domu Literatury. Opowiedziałem o tym, całe Prezydium śmiało się, że wzięli mnie za menela. Widzi Pani, jak to jest? Może i Pani widząc mnie wsunęłyby mi złotówkę do ręki? Pomyślałem sobie wtedy, że człowiek czuje się jak wczorajszy chłopiec, a wygląda jak jutrzejszy dziad.

Tymczasem Lam Quang My świętował swój jubileusz siedemdziesięciolecia. I on zupełnie na swój wiek nie wygląda, ale w pozytywnym sensie! A jego żona, rówieśnica, sprawia wrażenie młodej dziewczyny. Jest jak siostra swoich własnych dorosłych córek. Na jubileusz przysłała duża reprezentacja Wietnamczyków. Podziwiałem, jak oni się razem trzymają. Polacy tak nie potrafią. Jeśli są za granicą, to jeden drugiego utopiłby w hycze wody. A w kraju? Jeszcze gorzej. Mamy tego dowody choćby w naszym środowisku literackim. Jeden biega po portalach niczym małpa z brzytwą. Nie pytany komentuje wszystko złośliwie i napaśliwie, pisze teksty zacietrzewione i kłamliwe, aby tylko rzucić na kogoś cień. Inny lubuje się w snuciu intryg, oszczerstw i dezawuowaniu kolegów... I gdyby chociaż były to polemiki poparte skrytycznymi dowodami! Ale to są inwektywy, odkrywanie Ameryki dawno odkrytej, że ktoś kiedyś coś... Rewelacje typu jedna pani drugiej pani... Po prostu magiel. Głupi, chamski, nachalnie upolityczniony, napędzany głównie przez grafomański plankton. I teraz tacy tworzą w dużej mierze „środowisko”. Kiedyś ich utwórki byłyby skrytykowane słowem „nie skorzystamy” w każdej literackiej poczcie. Tymczasem tym podobni mają czelność wzniecać protesty i awantury, jak uczyniono to przeciwko werdyktowi kapituły nagrody im. Kazimierzy Iłakowiczówny przyznanej w tym roku za tomik debiutancki. Nie do pomyslenia, żeby dawniej jacyś nieopierzeni adepti podskakiwali znanym krytykom i poetom. W środowisko literackie nie każdy mógł wejść łatwo, bo nie składało się ono z młodzieżowych, roszczenio-

wych subkultur. Na to trzeba było solidnie zapracować.

Może to kogoś zgorszyć, ale twierdzę, że poezja (jak zresztą każda sztuka) jest do pewnego stopnia rzemiosłem. Dopiero kiedy się opanuje warsztat można robić najrozmaitsze eksperymenty, poszukiwać najbardziej odpowiednich środków wyrazu. Gdyby Pani nie wiedziała jak zapalić maszynkę, to nic by nie wyszło z gotowania najwymyślniejszej zupy. Bez podstaw nie ma niczego.

Czytam wiersze Jacka M. Hohensee z tomiku „Pisane w hotelu”. Autor jest malarzem, scenografem, publicystą, poetą. Realizuje się w wielu dziedzinach. Z radością przyjąłem jego tomik. Nie tylko dlatego, że znakomity, ale również dlatego, że jego wiersze znałem od najwcześniejszych swoich lat poetyckich, kiedy to Jacek zajmował czołowe miejsca w Łódzkiej Wiosnach Poetów, a także wydawał poezje w Instytucie Wydawniczym Pax. Tak, tak... Pani jeszcze wtedy nie było na świecie. Ale pomimo młodego wieku ma Pani, jak sądzę, świadomość, że istnieje poezja, która nie tylko się obraca w wirtualnym świecie; nie tylko się odnosi do internetowej terminologii. Dlatego polecam Pani wiersze „Pisane w hotelu”, jakże czytelne, nie zagmatwane, a jednak trudne, poważne powagą przesłań, co nie łączy się z ponurością i brakiem poczucia humoru. Poeta należy do starszego pokolenia niż Pani, co nie oznacza, że jego wiersze są anachroniczne. Piszę to, aby Pani uzmysłowić, że nie wszystko zaczęło się teraz. Niektórym, nawet pretendującym do miana poety, nie mieści się już w głowie, że myśl to zwierzątko, a komórka to składzik na węgiel i drewno. Ale chyba akurat Pani nie muszą tego tłumaczyć.

Równie dawno znamy się ze Stanisławem Nyczajem. Nigdy nie przyszedł mi do głowy, że w tym roku obchodzi pięćdziesięciolecie pracy twórczej, gdybym nie otrzymał od niego tomiku „Arcymiarą”, z dedykacją, w której wspominał o swoim jubileuszu.

Zawsze bardzo wysoko ceniłem wiersze Staszka, bo są mocno zakorzenione w konkretności, a jednocześnie mają liczne odniesienia do metafizyki. Z jednej strony życie człowieka jest reakcją na codzienne doświadczenia, które nas jako ukierunkowują, by nie powiedzieć: determinują. Ale tylko na tym konkretnym tle możemy dokonywać uogólnień, określać proporcje pomiędzy determinantą a wolną wolą, analizować i wartościować wszelkie sensory. To poezja bardzo mądra, ale daleka od języka traktatu, od preintelektualizowania. To świetna, wielowarstwowa i wielotematyczna liryka. Bardzo Pani polecam „Arcymiarę”, bo świadczy ona o tym, że prawdziwa poezja jeszcze nie umarła.

Zrobiłem Pani coś w rodzaju „wykazu” tomików, które na mnie zrobiły ostatnio największe wrażenie. Jeśli narzekamy, że ludzie nie czytają poezji, to przynajmniej czytamy ją my. Już chciałem napisać, że poetyckim lekturom sprzyja wiosna, ale się zawahałem, bo przecież każda pora roku jest odpowiednia! Tak więc zapraszam Panią do świata poezji.

Pozdrawiam jak najserdeczniej, wiosennie i poetycko –

STEFAN JURKOWSKI

Rozmyślania



O kłamstwie życia społecznego

Prawdziwe życie Polaków nie toczy się w wielkich miastach. Życie polskie toczy się w małych miasteczkach. Na przedmieściach wielkich miast i przede wszystkim na wsi. A więc życie jest tam, gdzie ludzie żyją po swojemu, po polsku, to znaczy – jak chcą. W taki sposób, o którym prawie nic nie wiadomo. A dlaczego nic nie wiadomo? To bardzo proste, bo jest to nieopisane. A jest nieopisane, ponieważ nie da się tego opisać i zrozumieć z perspektywy życia wielkich miast. Ci, którzy próbują to robić, sami się ośmieszają, bądź – w najlepszym wypadku – piszą nieprawdę. A w polskiej prasie coraz więcej pojawia się materiałów dotyczących polskiego życia prowincjonalnego. Boże, ileż w tych artykułach prymitywizmu, przekłamań czy wręcz niewyobrażalnego nieuctwa tych „wybitnych” dziennikarzy...

ANDRZEJ DĘBKOWSKI

Bo właśnie takie nieodpowiedzialne zachowania fałszują obraz polskiego życia. Ktoś może powiedzieć: „No, dobrze, więc kto ma to zrobić, ażeby ten obraz był najbliższy prawdy?”. Może trzeba być wielkim artystą, wielkim poetą, ażeby to opisać. Ale nawet, jeśli tak właśnie jest, to jeszcze nie znaczy, że należy beczelnie kłamać – i przedstawiać Polakom, z perspektywy warszawskich i krakowskich pałaców władzy, zafałszowany obraz Polski.

Najbardziej rzucającym się w oczy przykładem kompletnego zafałszowania obrazu współczesnej Polski jest pojawiające się

codziennie (wystarczy otworzyć gazetę) twierdzenie, że żyjemy tutaj w państwie demokratycznym – rządzone w demokratyczny sposób przez demokratycznie wybranych przedstawicieli ludu. Wciąż słyszę tę nędzną gadaninę – że jestem obywatelem demokratycznego państwa – i strach mnie zbiera, bo widzę, że mówią to ludzie, którzy nie mają żadnych złudzeń i całkiem dobrze wiedzą, kto, a raczej co, tu rządzi. Chodzi tu oczywiście – w tej całej gadaninie o polskiej demokracji – o przekonanie, a nawet przymuszenie Polaków, żeby siedzieli cicho i słuchali tych, którzy nimi rządzą – czy raczej tego czegoś, co nimi rządzi.

Czegoś takiego jak demokracja w Polsce w ogóle nie ma – i pewnie nigdy już nie będzie. Nie jest to żadne nieszczęście – nie jest przecież tak, żeby wolni ludzie musieli mieć wolne wybory i wybierać w nich swoich przedstawicieli. Żeby ludzie żyli na swój sposób (jak kto chce), wolne wybory wcale nie są potrzebne. Nieszczęściem jest tylko to, że sprawa ta przedstawiana jest we współczesnej Polsce w sposób jawnie kłamliwy. Prawda jest zaś taka, że to, co rządzi Polakami (to, co decyduje, jak oni są rządzeni), jest ukryte przed ich oczyma. Może dlatego, że ci, którzy to coś reprezentują, boją się naszego gniewu – i uważają, że względu na własne bezpieczeństwo, że Polaków lepiej jest okłamywać. Teraz w Polsce nie rządzą komuniści, a w przyszłości nie będą tu rządzić liberałowie. Kto i co rządzi w Polsce, to każdy widzi... Bo Polska, to jest kraj rządzony przez różne klikki, koterie, mafie, gangi i grupy biznesowe. Ale to jest tylko powierzchnia – a ci wszyscy mafiosi, gangsterzy, prezesi, ministrowie, bankowcy i profesorowie także nie bardzo wiedzą, co jest pod spodem, pod nimi. Pod spodem jest zaś system – to, co pozwala utrzymywać, w jako takim porządku i posłuszeństwie bez mała czterdzieści milionów Polaków...

Należy się tylko zastanowić, czy jest to może sytuacja przejściowa? Dzisiaj, trudno powiedzieć! Może i by tak było, gdyby udało się ukształtować w narodzie takie sposoby życia, jakie ukształtowały się w czasach Pierwszej Rzeczypospolitej. Może, gdyby pojawiła się znowu jakaś wielka myśl polska...

Piłsudski był ostatnim polskim politykiem, który miał pomysł – czym ma być Polska. To znaczy – jak ma wyglądać polskie życie, polskie wojsko, polska literatura, co zrobić z Polską, jak jej służyć. On miał jakąś ogromną wizję. Oczywiście, jemu się to nie udało. Natomiast dzisiejsze wspaniałe wizje Polski, komunistyczne i liberalne, mówią o tym, jak wyłudzić trochę więcej pieniędzy z Brukseli i załatać budżet.

Problemem polskości jest to, że rządzą nami system, który ma jeden cel: zniszczyć polskie życie społeczne, nie to w wielkich miastach (bo to jest już dawno zniszczone,

bądź kupione). Systemu nasze życie społeczne nie obchodzi. System obchodzi jedynie korzyść, jaką z czegoś może mieć – korzyść materialna. Dla ludzi, którzy służą temu systemowi, życie może być chińskie, argentyńskie, portugalskie czy jeszcze inne. Systemom jest wszystko jedno. Dlatego tak bardzo brakuje mi tego prawdziwego opisu polskiej rzeczywistości.

Kiedy oglądam telewizję, czytam gazety czy słucham radia, obcuje, jak każdy, z totalnym kłamstwem. W środkach masowego przekazu mamy do czynienia z różnymi rodzajami kłamstwa. Ludzie, którzy tam pracują, (nie tylko ci starzy, ale już nowi, młodzi dziennikarze), nauczyli się, że praca w telewizorze polega na okłamywaniu tak zwanej ludności. Wykonują więc tę swoją pracę, jak najlepiej potrafią – kłamią, jak się da i ile się da. W telewizorze kłamią nie tylko programy informacyjne – także rozrywkowe, literackie, muzyczne, jakie tylko są.

Telewizja ma w sobie coś z króla Midasa – tyle że czego się dotknie, zamienia się nie w złoto, lecz w...

Ten rodzaj kłamstwa wydaje mi się zresztą niezbyt ważny, ponieważ jest oczywiste, że telewizja kłamie. Ważniejsze i ciekawsze jest kłamstwo tych, którzy – opisując Polskę – nie bardzo wiedzą, że kłamią. To kłamstwo bierze się stąd, że to, co jest polską rzeczywistością, opisywane jest z perspektywy warszawskich czy krakowskich elit, a więc z perspektywy ludzi, którzy o życiu polskim – o jego wielkich głębiach, wielkich tajemnicach, ale także o jego widzialnych obrazach – wiedzą bardzo mało albo nie wiedzą nic. I to jest najbardziej przykre. Ale kogo to tak naprawdę obchodzi...

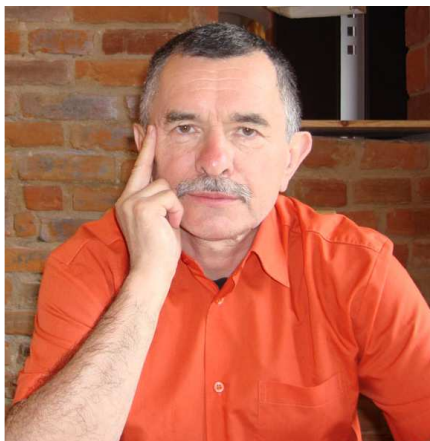


Rys. Barbara Medajska

JÓZEF BARAN

Przystanek Marzenie (43)

(fragmenty)



* * *

Głupi, głupszy, tenor – tak podobno stopniuje się głupotę w środowisku muzyków.

Tymczasem spotkania z tenorem światowej sławy, a więc tenorem do potęgi – Wiesławem Ochmanem, należą do miłszych i ciekawszych w moim archiwum chwil. Przede wszystkim zawsze po spotkaniu z tym człowiekiem o aksamitnym wnętrzu czułem się mądrzejszy, lepszy, bogatszy duchowo i jakoś tak mile polechtany piórkami po sercu, dowartościowany. Bo Wiesiek to umie. Wspaniały odbiorca poezji, z wielkim wyczuciem słowa, którym potrafi żonglować jak prestidigitator na estradzie i w towarzystwie. Pochwały z jego strony nie są zdawkowe, nie wprawiają w zażenowanie, w zakłopotanie, lecz spija się je jak słodkie konfitury.

Chłopiec z warszawskiego Targówka, który dzięki wielkiemu talentowi zrobił fantastyczną karierę i śpiewał na wszystkich wielkich scenach świata, łącznie z Metropolitan Opera House, mediolańską La Scalą, Teatro Colón w Buenos Aires, scenami operowymi Berlina, Barcelony, Chicago, Hamburga, Wiednia, Madrytu, Moskwy, Rzymu – nie zagubił po drodze tego, co miał najcenniejsze: prostoty, naturalności, humoru i wrażliwości na biedę bliźniego, obojętne jaka by ona była. Wiesław wysłucha, opuka, doradzi, zażartuje, zawsze zwrócony słoneczną stroną w stronę bliźniego. Bo sam zakosztował biedy w dzieciństwie, a że jest wielki, to tylko wzbogaciło go duchowo.

W opublikowanej niedawno książce Jerzego Skrobota *Tonacje sławy*, napisanej ze znanstwem i skrzącej się od anegdot, tak wypowiadał się o nim:

„Zaliczam go do tych wspaniałych polskich humanistów (Jan Paweł II, Ryszard Kapuściński, Anna Dymna, ks. Jan Twardowski czy Wiesław Ochman), którym

sława i chwała nie skurczyły serca do rozmiarów zeschniętego orzeszka. Ochman to wielkie serce na dłoni, tryskająca energia, wyrafinowane acz ciepłe poczucie humoru i nieomyślne wyczucie formy na estradzie. Gdy spotyka się tam z wyrazami hołdu i ociera o patos, egzaltację, lukier – wykonuje zwykle salto mortale, opowiadając anegdoty o sobie i poznanych artystach tak nieskrępowanie, że zawsze spada z obłoków na cztery łapy śmiechu. Dla równowagi. Żeby nie było za górnołotnie i żeby Niebo spotkało się w duszy artysty z Ziemią”. Dwie anegdoty o Ochmanie.

Pierwsza ciut-ciut złośliwa, pokazująca jego twarz wisusa. Gdy jeszcze jako student zamieszkał z żoną Krystyną, krakowianką, u szwagra w Nowej Hucie, widział często wychodzącego z naprzeciwległego bloku znakomitego aktora Witolda Pyrkosza. Witold Pyrkosz był w posiadaniu wspaniałego na owe czasy motocykla. Pewnego razu miał kłopoty z uruchomieniem maszyny: dębał coś w silniku odwrócony plecami. Wiesław uchylił nieznacznie okna i zawołał na cały głos: „Pyrkosz! Czemu nie pyrkosz?”. Druga anegdota – pouczająca...

Zanim stał się najślynniejszym polskim śpiewakiem operowym występującym na największych światowych scenach, miał, jak każdy początkujący artysta, kłopoty z pierwszym angażem. Na ofertę młodego Wiesława Ochmana skierowaną do Opery Poznańskiej jej ówczesny dyrektor Górzynski odpisał krótko i zgodnie z prawdą, że nie ma wolnych etatów dla tenorów. Po latach w prywatnej rozmowie z cieszącym się już wielką sławą śpiewakiem stwierdził dowcipnie: „A niby jak mogłem przewidzieć, że będzie chodziło właśnie o Pana...”. Właśnie...



Foto: Andrzej Dębowski

Wiesław Ochman

Kto mógł przewidzieć, że z tego chłopaka, wychowanego przez knajacką dzielnicę Warszawy, który potem ukończy Technikum Zdobnictwa Ceramicznego (w Szczawnica Źdroju) i Akademię Górniczo-Hutniczą (w Krakowie), wyrośnie w przyszłości następca Kiepury. Nim jednak to nastąpiło i nim kariera się rozwinęła, śpiewaka czekała gigantyczna praca, bo przecież

– jak powiadał Rubinstein – sukces to 99 procent potu i tylko jeden procent polotu. Dowody na pracowitość? Ot, choćby takie, że Ochman śpiewa w wielu językach, a siedmioma władą biegle, choć w dzieciństwie nie miał guwernantki i jedynym jego językiem była warszawska gwara. Wiesław Ochman to oczywiście przede wszystkim wielki śpiewak, ale nie tylko... Także społecznik. Mistrz zarobił za granicą tyle pieniędzy, że nie musi o nie zabiegać, a zyski z niektórych koncertów przeznacza na renowację cennych polskich zabytków (np. na odbudowę Domu-Muzeum Mickiewicza w Wilnie) czy stypendia i nagrody dla młodych artystów. W 1998 roku zapoczątkował i do dziś prowadzi bezinteresownie roczną aukcję dzieł malarzy polskich w Konsulacie Generalnym RP w Nowym Jorku.

Poznałem go za pośrednictwem krakowskiego dziennikarza i pisarza Jurka Skrobota, pomysłodawcy wystaw malarskich w Krakowskim Banku Spółdzielczym (swoją drogą to interesujący pomysł, żeby z banków uczynić galerie). Ochman pokazał tam kilkanaście swoich postimpresjonistycznych obrazów, ja czytałem na wernisazu wiersze. Za chwilę dał się poznać przy stole jako znakomity gawędziarz i anegdociarz.

Spotykaliśmy się jeszcze parokrotnie w Krakowie. Ujął mnie rzadką cechą w dzisiejszych czasach, kiedy to artyści i twórcy niechętnie mówią o sobie nawzajem dobrze, że nie szczędzi pochwał, gdy mu się coś spodoba. Nie będę ukrywał, że wychwalał pod niebiosa nie tylko Kapuścińskiego, z którym się przyjaźnił, ale i moje wiersze i dzienniki. Muszę przyznać, że jakaś chłopiska powściągliwość wobec wielkich słów nie pozwalała mi nigdy zrewanżować się podobnymi komplementami.

Rewanżuję się więc nimi dziś. Nigdy Ci tego, Wiesławie, nie powiedziałem, że puszczałem sobie na dzień dobry, by wprawić się w dobry nastrój, wykonywane przez Ciebie: *O sole mio*, arie Cavaradossiego z *Granady*, arie z *Poławiaczy pereł* Bizeta, z *Turandota* Pucciniego, z *Granady* Lary, z *Don Giovanniego* Mozarta czy pieśni słowiańskie Czajkowskiego, Moniuszki, Rachmaninowa. Niektóre są jak słonce wystrzelające w czerwcowym poranku i rozpędzające w człowieku mroczne myśli. Bo jest w Twoim głosie zaklęta dobra energia, która mogłaby wprawić w ruch, gdyby ją jakoś spotęgować i przetworzyć, turbiny i silniki Dobrego Samopoczucia. Niestety takich jeszcze nie wymyślono.

Gdy co rano puszczałem sobie Twoje arie na powitanie dnia, czuję, jakby Pan Bóg otwierał okna obłoków i wołał do mnie z wysoka: „Hej, hej, staruszkule, wstawaj i bądź młodzieńcem; ciesz się z życia, które dla ciebie wymyśliłem, bo warte jest tego!”

cdn.

Krawiecka robotą poety

Pisanie poematów wymaga obecnie głębokiego przekonania artystycznego, a i autor musi być mocno zdeterminowany co do wartości celu, którego urzeczywistnienia się podejmuje. Żyjemy bowiem w cywilizacji ponowoczesnej, w której nic nie jest pewne, a żaden autorytet nie jest w stanie oprzeć się swym krytykom. Mówiąc prościej: żadna świętość nie może się bezwzględnie utrzymać i skutecznie obronić jako depozytariusz wartości ważny dla wszystkich ludzi. Może jest to rezultat rozprzestrzeniania się totalnego tzw. „ideologii demokratyzacji” życia ludzi we wszystkich jego aspektach, co jest założeniem na tyle utopijnym, co nie możliwym. Nie znaczy to, że ludzie w większości zaczynają w to wierzyć i próbują praktykować tę ideologię. W wymiarze globalnym towarzyszy temu również tzw. „kult amatora” – o którym pisał niedawno Andrew Keen – przeciwstawiając się nowemu zjawisku związanemu z rozwojem społeczeństwa informacyjnego i medialnego, w którym lansuje się pełną demokrację i społeczeństwo przekraczające wszelkie różnice oraz hierarchie społeczne, ale i ich biologiczne oraz kulturowe podstawy.

Początki tego zjawiska zauważone na przełomie XIX i XX wieku, kiedy nastąpił dynamiczny rozwój systemu kapitalizmu opartego o ideologię liberalno-burżuazyjną, któremu równoległe towarzyszył rozwój społeczeństwa masowego. Zjawisko to J. Ortega y Gasset opisał jako bunt mas, zaś szkoła frankfurcka w ramach tzw. krytycznej teorii społeczeństwa nazwała powstaniem oraz rozwojem „przemysł kulturowego”, zastępującego kulturę wysoką kulturą masową o charakterze stricte popularnym, spychającą sukcesywnie tę pierwszą w ręce komercji lub do podziemia kulturowego, bo nie dawała widomego zysku ekonomicznego i hamowała rozwój konsumpcyjnej świadomości, z której żyje przecież wielki kapitał. Zjawisko to zauważyli m.in. Fryderyk Nietzsche, Edmund Husserl, Zygmunt Freud i jego uczniowie, ale i sympatyzujący z tymi nurtami filozofii XX wieku modernistyczni artyści, ale i pisarze. W polskim kręgu kulturowym tym przemianom społeczno-świadomościowym towarzyszyła również literatura, która starała się te nowe zmiany opisać i antycypować ich następstwa na poziomie społeczno-świadomościowym. Do grona tych pisarzy należeli m.in.: Eliza Orzeszkowa, Maria Konopnicka, Władysław Reymont, Leon Chwiśtek, a szczególnie – Brunon Schulz i Stanisław Ignacy Witkiewicz (Witkacy). To oni odkryli zarówno dla poezji, jak i prozy możliwość ukazywania głębokich mechanizmów psychicznych, seksualnych, kierujących społecznym behawiorem ludzkich zachowań, pojawiających się u podstawy ich działań, wyborów moralnych, artystyczno-estetycznych, ale i celów twórczości artystycznej. Do tej tradycji

można również zaliczyć poemat dygresyjny autorstwa **Tomasza Sobieraja** pt. „Krawiec”. Już sam tytuł sugeruje, że inspiracje do napisania tego tekstu są pod pewnym względem bliskie Witkacemu, kiedy pisał „Szewców”.

Poemat ten jest poniekąd autobiografią autora, w którą zostają wplecione – w odczuciu autora – osobiste kluczowe doświadczenia i przeżycia, które mają wpływ na charakter jego widzenia świata oraz miejsca w nim jego twórczości pisarskiej. Warto je zatem krótko przypomnieć. Urodzony z matki z dobrego domu i prowincjonalnego artysty – krawca. Matka w młodości grywała na skrzypcach, ale w końcu kupił je grajek pogrzebowy. Ojciec pisarza przypominał osobowość, o której pisał również Brunon Schulz, kiedy wspominał własnego. Autor kształtował swą męską wrażliwość pod wpływem pięknych kobiet, na wspomnienie których onanizował się. Fizjologia śmierci obojga rodziców odcisnęła się w jego pamięci, choć sądzi, że śmierć przyniosła im ukojenie po przekroczeniu granic siemiejnej egzystencji. Zostaje na wzór swego ojca również „przysłowiowym krawcem” o zacięciu poetyckim, ale i filozoficznym, nieśmiałym, samotnym, posiadającym psa. Najczęściej swoje rozważania o rzeczach ostatecznych podejmuje przy życiu i pruciu ubrań. To pozwala mu żyć (tworzyć) samego siebie, a przy tym dostaje iluminacji pod wpływem twórczości Leopolda Staffa, podpowiadającej mu, by na tej drodze zostać nawet Bogiem, stającym ponda czasem, choć widmo śmierci ciągle budzi w nim wątpliwości co do kierunku takiej drogi tworzenia. Do działalności artystycznej mobilizują go nasyczone erotyzmem dialogi z młodą dziewczyną w jego pracowni krawieckiej, kiedy przychodzi do niego na kolejne przymiarki, by „wypełnić formę odpowiednią treścią”. Czuje się wtedy bywalcem świata twórczości Witkacego i Witolda Gmbrowicza, by następnie rozpocząć dialog o sztuce poetyzowania z Adamem Asnykiem. Pełen niedosytu marzy o takiej sztuce pisania, której zarys przedstawił Horacy w „Sztuce poezji”, bo chce osiągnąć coś w literaturze niedoścignionego, choć ciągle odnosi wrażenie, że wychodzi mu coś na kształt „erotyku z wigilijnym karpem” w parze.

W kolejnych rozdziałach poematu poeta kpi z cogito Kartezjusza, oddzielającego rozum od ciała, nowego języka poezji przypominającego informatyczne algorytmy; z zaszczytów, których doświadczają „nowi poeci” współcześni, określane nawet mianem „Natchnionych Ojców Poezji”, spadający z reguły w objęcia pospolitej sztuki „codziennych wulgarności”, którymi zakwitają ulice i skwery naszych miast. Marzy mu się „Wieli Karnawał Poezji”, w czasie którego wybitni nobliści czytaliby jego wiersze. Podaje nagie cytaty o tym, czym dzisiaj jest poezja według Adama Wiedemanna, Karola Maliszewskiego, Mariusza Grzebalskiego, Agnieszki Wolny-Hamkało i Konrada z „Dziadów” A. Mickiewicza. Wszystkie te określenia aktualnego rozumienia dzieła sztuki zderza z teorią czystej formy Witkiewicza i

zastanawia się nad jej konsekwencjami w relacji ze sztuką współczesną, w której treści rozsadzają jej formy, co skazuje te utwory na utratę wymiaru estetycznego.

Przypomina wybitnych twórców, którzy – jego zdaniem – właściwie zdyskontowali w swej twórczości własną wiedzę naukową i technologiczną, jak np. Leonardo da Vinci, Goethe, ale i Witkacy czy Karłowicz, sugerując, że istnieje pilna potrzeba pogodzenia sztuki z nauką, technologią i życiem codziennym. Nie zgadza się z też Renanem, że społeczeństwo stanowi głębię, na której wyrosnie cywilizacja wspaniałych kwiatów (nowy antyk). Powód tego jest prosty, bo dzisiaj nastąpił upadek metafizyki tradycyjnej, a w nowej miejsce Boga zastąpił człowiek wraz ze wszystkimi swymi słabościami. Obecna rzeczywistość jest inna od poprzedniej, bo przeseksualizowana, komercyjna, wulgarna, przypominająca psychotyka, w której żyją współcześni artyści i poeci polscy. W VII rozdziale poematu Sobieraj pisze: „(...) Właściwie wbrew Heraklitowi / nic się nie zmieniło. / A dokładnie: / duch ciągle jest taki sam, zmienia się tylko materia. / Na gorsze. // I do tego to wiecznie polskie / na niby, / pozorowanie. // Tak, w tym kraju nad Wisłą / nic nie jest na serio – / no może z wyjątkiem głupoty”.

W kolejnym (VIII) rozdziale po raz wtóry poeta wraca do idei czystej formy Witkiewicza w kontekście dokonań sztuki współczesnej, której nie stać obecnie na tworzenie pełnych dzieł sztuki. Krytykuje więc sztukę współczesną i poezję za przerost treści nad jej formą, chwając jednocześnie dyskurs filozoficzny w tej dziedzinie, choć widzi, że brak dla niego adresata w postaci „intelektualnych elit”, a wśród publiczności króluje jedynie „nieczysty tłum”. Współczesna teoria „wielkości dzieła” tkwiąca w zmurzałym duchu patriotyzmu, gdzie króluje treść nad formą, pozbawia estetyzmu takimi wypowiedziami artystycznymi. Autor pogardza aplauzami „publiki przeciętności” zgodnie z przekonaniem głoszonymi w tej kwestii już przez Horacego. Dołącza do tego zjadliwy i ironiczny opis ewolucji degeneracji współczesnego członka społeczeństwa, przysłowiowego pijaka, który w tych kwestiach ma „najwięcej do powiedzenia” dopóki ma jeszcze wódkę w butelce. Jest to argument w kontekście kosmologicznej idei „Inteligentnego Projektu” degrengolady nagiej demokracji, która w ten sposób dostarcza empirycznego przeciwdowodu temu filozoficznemu projektowi. Taka pijacka wizja świata, która zagnieżdża się we współczesnej sztuce – to tylko wariacje nieczystych epizodów z „Odysei” Homera, dodaje, bo bez wiedzy o współczesnym świecie i ludziach – konkluduje Sobieraj – nie może powstać wartościowe dzieło sztuki, ale jedynie pseudoartystyczny bełkot.

Celem tego poematu, a właściwie pamfletu na temat kondycji współczesnej literatury rodzimej, jest niewątpliwie poszukiwanie schematu tego co się obecnie dzieje w naszym

(Dokończenie na stronie 18)

Krawiecka roboty poety

(Dokończenie ze strony 17)

społeczeństwie w obszarze kultury artystycznej oraz próba „krawieckiego fastrygowania i łatania” uniformu dla tego stanu rzeczy, który pozostaje nieustannie pod ciśnieniem szybkich i notorycznych transformacji, którym dodatkowo towarzyszy mieszanie się różnych kultur pozostających na różnych etapach rozwoju. Skutkuje to w wymiarze zarówno globalnym, ale globalnym tym, że ludzie masowo tracą swą tożsamość i zakorzenienie kulturowe, a w konsekwencji skazani są na ciągłe jej poszukiwanie, budowanie, by się gdzieś jakoś zakorzenić i choć chwilowo nadać sens własnemu jednostkowemu, sprywatyzowanemu do granic możliwości istnieniu. Owa głęboka fragmentaryzacja i towarzyszące jej zmiany społeczne, które dotyczą również i polską kulturę, powodują, że nie ma ani klimatu, ani kontekstu do budowy wielkich dzieł sztuki, w tym literackich i poetyckich, co boli autora i czemu daje wyraz w swym przepełnionym ironią poemacie. Głos ten jest ważny, trafnie akcentujący i eksponujący w różnych dyskursach literackich aktualny stan rzeczy w świecie rodzimego ducha władającego naszą kulturą. Co prawda poeta nie proponuje jakichś radykalnych rozwiązań, ale wybiera „metodę krawieckiej fastrygi” aktualnej rzeczywistości kulturowej, przy pomocy której stara się zachować jej stan posiadania, ale zdaje sobie sprawę, że szczyt nowej tkanki kultury będzie wymagać „wielu przymiarek”, by doprowadziły one do nowej całości; przymiarek, w których „piękna materia” jak kobieta nie rozsada już formy nowego uniformu duchowego społeczeństwa.

PROF. IGNACY S. FIUT

Tomasz Sobieraj, „Krawiec. Poemat dygresyjny”, Wydawca: Editions Sur Ner, Łódź 2012, s. 64.

Jeden rok z życia pisarza

Jerzy Pilch (ur. 1952) mimo trapiących go chorób, a może właśnie dzięki nim, zadziwia swą pisarską aktywnością. Jak wyznaje w świeżo opublikowanym „Drugim dzienniku”: *Na szczęście nie straciłem zapachu do literatury, na szczęście nie zapomniałem zasad rzemiosła.* Przy okazji udziela też cennych rad: *Żeby napisać dobry wiersz, trzeba przeczytać dobry wiersz. Żeby napisać dobrą powieść, opowiadanie czy inny sonet, trzeba takie czytać, czytać i jeszcze raz czytać.* I Pilch to czyni, i stąd jego dziennik zagęszczony jest cytatami z obfitych

lektur. Działają one niczym niezawodnych środków znieczulających w trapiącym go parkinsonie czy nikotynizmie. Można rzec, że generalnie Jerzy Pilch jest zwyczajną nad samym sobą, albo że do tego zwycięstwa nieustannie dąży. Jego ideałem jest silny człowiek, ale wiadomo, jak to jest z ideałami.

Jerzy Pilch ma bezsprzecznie jedną piękną cechę charakteru: jest nią wierność, którą okazuje rodzinnej Wiśle. Pisarz stworzył swą mitologię tej miejscowości, magicznie położonej w Beskidzie Śląskim na wysokości 500 m n.p.m.

Wiślacy, herosi Pilchowej mitologii, są niezwykle sympatyczni, chciałoby się mieć takich przyjaciół, jak na przykład stary Pacura, czy Hania od Kocięłłów, to byli doprawdy arcyboscy wiślanie. Przypomina się w tym momencie „Historia filozofii po góralsku” ks. Józefa Tischnera. Książka ta jest również swoistą mitologią podhalańską. W niej zapisane jest góralską gwarą zdanie: *Nie prowdy sukaj, ino cleka.*

Jerzy Pilch w swym dzienniku szuka prawdy o sobie. Trudne i żmudne to poszukiwania, publiczna spowiedź dowodzi męstwa autora i jest chyba tylko jemu samemu potrzebna...

W zapisie datowanym 8 października 2012 roku Pilch pisze, że „*drugi dziennik*” miał być *z założeniu intymniejszy, ale z intymnością, jak to z intymnością: same kłopoty.* Pisarz wybrał więc „spowiedź ekstremalną”. My, czytelnicy, udzielamy rozgrzeszenia bez pokuty, bo podziwiamy Pilcha za umiejętność spojrzenia na siebie z zewnątrz, z dystansem i ironią. Bez maski literackiego kłamcy.

EMIL BIELA

Jerzy Pilch, „Drugie dzienniki. 21 czerwca 2012-20 czerwca 2013”. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2013, s. 282.

Zabawy z przemijaniem

Najnowszy tomik **Jana Kurowickiego** „Nieszczęlny konkreć”, bawi się z czytelnikiem, stawia pytania, namnaża wątpliwości i pozostawia niedopowiedzenia. Nie oznacza to jednak, że mamy w nim do czynienia z poezją uników. Jako całość jest, moim zdaniem, ilustracją nieuchronności przemijania, które traktuje z ironią i poczuciem humoru. Temu właśnie poczuciu towarzyszy otwieranie dawno zamkniętych szuflad, z których teraz wysypują się polaroidy wspomnień, osób, przeżyć, sytuacji oraz idei.

Pobieżna jednak i wybiórcza lektura jego utworów może w odbiorcy wytwarzać wrażenie chaosu, jaki panuje w ich świecie. W jednym oto miejscu książki dostajemy poważny komentarz dotyczący realiów społecznych i polityki; w innym zaś – wraz z podmiotem

lirycznym – doświadczymy z pozoru błahych spraw erotyki. Potem prowadzi on nas pomiędzy alkoholowe zabawy i euforie itp. itd..

O czymkolwiek jednak opowiada – jest świadomy panującej nad nami rzeczywistości. Stanowią ją zarówno „reklamy, pokazujące, że wszystko jest baśnią”, jak i „Zabijani; zmarniałe ze strachu kobiety i dzieci, politycy, / Dziennikarze, taplający się w gównie komunałów, / Narkomani i alkoholicy, robotnicy, targujący się o cenę / Siły roboczej, bez żadnej już nadziei na inny byt; [...]”.

Na tym jednak nie koniec. Oto w utworze „Święty, najświętszy” bliźnim narratora jest „umartwiony piwem, wódką, winem” bezdomny, który „Modli dygotem zapoconych rąk / Do bóstw, jak i on, zdegradowanych”. No tak, życie w łonie matki demokracji nie przypomina obrazka z pięknym landszaftem i nawet absolut w postaci bóstw okazał się kruchy. Sądzę, że wspomniany utwór mógłby stanowić treść odważnej pastorałki o wykluczonym, który mieszka w swoim tekturowym domku. Pytanie tylko, czy syte i zaślepione konsumpcją społeczeństwo miałoby odwagę taką pastorałkę zaśpiewać, gdy usta nie będą już pełne karpich ości.

Poezja Kurowickiego nie sytuuje się więc na marginesie aktualnych sytuacji społecznych i wyczuwamy, że światopogląd autora został ukształtowany przez myśl altruistyczną, lewicową, o czym z resztą przeczytamy w jednym z utworów, gdy napomknie coś o Marksie, ale nie byle jak. Jest to swego rodzaju credo, które także dziś będzie brzmieć jak prowokacja, ale wyraża swego rodzaju tęsknotę za myślą humanistyczną, polityczną, która nie zajmuje dziś umysłów pochłoniętych przez twardą myśl, lecz neoliberalną. Napisze tedy bez skrępowania: „W imię Marksa, Engelsa, Lenina, Trockiego, / Które było Słowem. / Stworzyłem się z niego, jak stwarza się / Oset w kojących łańcuchach pozoru, / Sprzeciw wobec zgody bezradnych. [...]”.

Podmiot tego tomiku bywa czasami rozerotyzowanym macho, wspominającym kobiety i erotyczne doznania, ale one także emanują pustką, starością i czasem przeszłym. Jednak ciąży nad nim poczucie końca. Dlatego powiada, że: „Pani śmierć czyha na mój oddech, pokazuje nagie kolana, / Odstawiła na bok kosę, zdjęła prześcieradło; / Chce się kochać / I drzy nad mym odsłoniętym ciałem. [...]”. A gdy już będzie miał za sobą to ostatnie zbliżenie, trafi pod sąd, „Sąd Ostateczny”, gdzie „Jakiś nieznan facet siedzi / Na kwitnącej łące i / Ogląda na wideo utarte ścieżki / twego życia. / Dziwił się, że fabuła jest tak licha, / fatalne kolory, dźwięki się strzępią; [...]”. Narrator dworuje sobie makabrycznie ze śmierci także wtedy, gdy opisuje swój udział we własnym pogrzebie. Zanim wjedzie do pieca w krematorium, zdąży jeszcze „kopnąć w dupę” idące w kondukcje pogrzebowym swoje dwie pierwsze żony, ale trzecią już pogłaszcze po włosach i zaraz stwierdza dowcipnie: „O kurwa! / Nie ma / Sprawiedliwości / Na tym / Świecie.”

Trzeba koniecznie nadmienić, że utwór ten nosi tytuł „Wiersz miłosny”.

Gdzieś pomiędzy osławianiem śmierci, a erotyką, nasz podmiot liryczny będzie wciąż poszukiwać swojej tożsamości, podważać ślepią i upartą wiarę w moc i siłę sprawczą prawdy. Dlatego czytamy w utworze „Kaprysy prozy życia”, że „Zarliwi nosiciele prawdy, która zawsze zwycięża, / Dogorywają w baśniach dla dzieci. / Aby złośliwy rak ironii nie rozkładał / Ich ofiary.”

Miejscami mocną wymowę „Nieszczęlnego konkrety” łągają jednak obecne w tomiku reprodukcje prac malarskich Joanny Ratajczak-Kurowickiej. Ale nie do końca. Książka bowiem stanowi nieustannie podważanie wszelkich, najpiękniejszych nawet złudzeń; ironiczne powątpiewanie w to, co zdaje się pewne i oczywiste, by nie zgubić z pola widzenia kantów i sprzeczności świata. A co z przyszłością? „Zabrałem się więc do rozkładania”, mówi spokojny narrator w ostatnim utworze. Musimy więc iść w nią sami.

WOJCIECH WOJCIECHOWSKI

Jan Kurowicki, „Nieszczęlny konkret”. Wydawnictwo „Miniatura”, Kraków 2013, s. 78.

Biblia dla niewierzących polityków

Vasyl Tolevski to jeden z najbardziej znaczących macedońskich satyryków. Ten urodzony w 1956 roku w Budapeszcie twórca jest autorem 15 zbiorów satyry, aforyzmów, skeczy i humoresek bardzo popularnych na całym Bałkanach. W Polsce jego twórczość jest dostępna dzięki znakomitym przekładom Olgi Lalić-Krowickiej. To właśnie w jej tłumaczeniu z macedońskiego ukazał się nakładem Krośnieńskiej Oficyny Wydawniczej zbiór aforyzmów Tolevskiego zatytułowany *Biblia dla niewierzących*.

Zawiedliby się srodze ci, którzy spodziewaliby się znaleźć w tym tomiku teksty obrazoburcze o charakterze antyreligijnym, niewiara autora jest skierowana bowiem w zupełnie odmiennym kierunku. Nie dotyczy on w swoich aforyzmach tematów związanych z istnieniem bądź nieistnieniem Boga, czy też jego roli w życiu przeciętnego Macedończyka. Podmiotem jego testów są bowiem politycy, ludzie rządzący krajem, którzy – według autora – oszukali swoich wyborców i skupili się wyłącznie na zdobywaniu osobistych profitów kosztem całego społeczeństwa.

Tolevski podzielił swoje aforyzmy na pięć części. W pierwszej, zatytułowanej *Sprawy macedońskie* skupił się na zagadnieniach związanych z podziałem społeczeństwa, jak i całego kraju:

W sklepie obuwniczym pojawiła się marka butów „Macedonia”? Naturalnie, że chodzi o lewą i prawą Macedonię!

W innym tekście dodaje:

Macedonia miała kiedyś dostęp do morza. Teraz ma tylko topielców.

Podkreśla, że w przeszłości Macedonia była znaczącym państwem, o tradycjach historycznych, którego szanse na rozwój pogrzebali sprawujący obecnie władzę:

Jeśli zostanie udowodnione, że Aleksander Macedoński został pochowany w Macedonii, to będzie oznaczało, że jesteśmy pochowani w tym samym grobowcu.

W kolejnej części zbioru autor nie szczędzi słów krytycznych przywódcy kraju. Zarzuca mu nieudolność i brak odwagi w podejmowaniu ważnych decyzji oraz otaczanie się gronem pochlebców:

Tito przy sobie trzymał zawsze psy. Historia lubi się powtarzać i u dzisiejszych władców.

czy też jeszcze ostrzej:

Rozumiem, że ojczyzna jest naszą matką. Ale czemu akurat wybrali Edypa na Przywódcę?!

W kolejnych częściach Tolevski krytykuje ludzi sprawujących władzę oraz pozostałych polityków. Uważa, iż dbają oni wyłącznie o swoje interesy, nie zaś tych, którzy ich wybrali:

Władza rozwiązała problem głodu! Najadła się.

Jest przekonany, że ich działania mają charakter destrukcyjny i prowadzą do ubożenia społeczeństwa:

Rząd zapowiedział nowe reformy. Grabarze zacierają ręce!

Nie oszczędza jednak i pozostałych polityków:

Szachy są grą, podczas której trzeba myśleć. Dlatego nie mamy ani jednego polityka, który umiałby grać w szachy.

W swoich aforyzmach Tolevski nie pomija i samego macedońskiego społeczeństwa, bo to przecież właśnie ono wybrało tych, którzy nim rządzą i do których ma teraz pretensje:

Podpóki głosijemy jak owce, Władza będzie nas traktować jak bobki.

I ze smutkiem konstatuje:

Nam dyktatorzy nie narzucają się. Sami ich wybieramy.

Biblia dla niewierzących to w dużej mierze zbiór pełnych gorczy, przemyśleń Vasila

Tolevskiego, w których mowa o degeneracji władzy oderwanej od społeczeństwa, które je wybrało i jednocześnie samo nie jest w stanie czegokolwiek zmienić – zbyt wiele w nim indolencji i niewiary w skuteczność własnych działań.

Książka jest przestrożą dla czytelnika, przed tym, co najgorsze – stanem apatii i zaniechania. Bo przecież: *Musimy stać na nogi. / Kule już sprzedaliśmy.* nie mamy już innego wyjścia, niż budowanie lepszego jutra.

To niezmiernie ciekawa pozycja wydawnicza, której lekturę gorąco polecam.

TADEUSZ ZAWADOWSKI

Vasil Tolevski, „Biblia dla niewierzących. Wybór aforyzmów. Redakcja i przekład z języka macedońskiego: Olga Lalić-Krowicka. Krośnieńska Oficyna Wydawnicza sp. z o.o. Krosno 2013.

Ryszarda Ulickiego rozmowy egzystencjalne...

odtąd Pan Cogito z dobrodusznym uśmiechem przechadza się po rzeczywistości

Krzysztof Gąsiorowski

Tytuł: „Ludzie jak kamienie milowe”. Kamienie raczej jako podpory słupów milowych (według Kierkegarda chodzi o filozofię egzystencji – indywidualną egzystencję człowieka z jego miejscem i rolą w świecie). Na trzystu siedemdziesięciu stronach rozmowy-wywiady, które dają się czytać (jest ich pięćdziesiąt i drukowane były na łamach „Miesięcznika” w latach 2000-2012) jak powieść strumienia świadomości. Autor wykorzystał wariant klasycznego dla tego rodzaju twórczości schematu „całe życie w jednym dniu, całe życie w jednym momencie”. Również Pan Cogito w gąszczu wielkich treści i symboli próbował odnaleźć klucz do własnych znaczeń i nadziei... Życie jest dziwną grą i świadomość tego zwykle ułatwia człowiekowi przeżywanie świata w kategoriach emocjonalnych.

Autor: Ryszard Ulicki (1943) poeta, prozaik, dziennikarz, twórca rzeźb w kamieniu i drewnie, autor tekstów popularnych piosenek i pieśni dla zespołów romskich. Prezes ZAKE, zastępca przewodniczącego Zarządu Stowarzyszenia Autorów ZAiKS, wiceprezes Zarządu Związku Literatów Polskich i Stowarzyszenia Dziennikarzy RP.

I tak oto dotarliśmy do Ulickiego-dziennikarza, którego charakteryzuje dyplomatyczna zręczność – i to, że wypowiada się prosto, szczerze w sposób nienapastliwy i pozbawiony kaznodziejskiej emfazy. Zdaje się być rozmiłowany w naukowej metodyce – posiada niezwykłą umiejętność zadawania pytań – zbierania doświadczeń i badania ich przy pomocy pytań, bez wymuszania

(Dokończenie na stronie 20)

Ryszarda Ulickiego rozmowy...

(Dokończenie ze strony 19)

odpowiedzi. To cenny dokument ludzki w socjologicznym i psychologicznym znaczeniu. Wyjaśniając genezę swoich rozmów z rewolucyjnym zapalem – najczęściej rozmawia z podobnymi do siebie, mówił że ma wielu sobowrotów. Depozytariuszami byli (wielu już nie żyje) przedstawiciele różnych środowisk i profesji „byli świadkami historii, ale także tę naszą najnowszą współtworzyli.”

Np. politycy: z rozmów z Aleksandrem Kwaśniewskim, Leszkiem Millerem, Leszkiem Moczulskim, Aleksandrem Małachowskim, Longinem Pastusiakiem, Mieczysławem F. Rakowskim i Krzysztofem Teodorem Toeplitzem wynika, że tragizm ludzkiego losu wpisany jest w dzieje każdej cywilizacji, która stoi na straży wartości autonomicznych wobec innych.

Ulickiego cechuje osobliwa odmiana uprzejmości (nie zauważyłem, żeby chciał ukryć swoją twarz na pół wstydliwie, na pół konspiracyjnie). Zauważyłem jednak ową poważną skwapliwość, która nie jest schlebieniem, ale skromnością mędrca, który na każdym, kto wybrał własną drogę, uczy się „nie od niego, lecz właśnie na nim.” Powyższe rozważania dają asumpt do ostatecznego zrozumienia rzeczywistości, którą można zastenografować, czy po prostu utrwalic. Życie prof. Religi było jakby odmiennym rodzajem istnienia, odmiennym rodzajem egzystencji. Kuriozalnym wydaje się stwierdzenie I „Należę do bardzo nielicznej grupy ludzi, którym spełniły się wszystkie marzenia.”

Nie jest przypadkiem, że autor „Ludzi jak kamienie milowe” z przeprowadzonych rozmów nie uczynił zimnego i sceptycznego wejścia w rzeczywistość. Każdy z rozmówców miał (ma) jakieś swoje miejsce w życiu, które jest jego oknem na świat, jak m.in. Adam Marszałek, biskup Ignacy Ludwik Jeź, król polskich romów Henryk Kozłowski, Don Vasył, Bogdan Trojanek – czy też aktorzy: Bronisław Cieślak i Wojciech Siemion.

Najliczniejszą grupę stanowią pisarze: Piotr Kuncewicz, Marek Wawrzkiwicz, Eugeniusz Kabatc, Waław Sadkowski, Krzysztof Gąsiorowski, Grzegorz Wiśniewski, Roman Śliwonik, Andrzej K. Waśkiewicz, oraz ludzie, których sprawy ciągle związane są z Koszalinem i wciąż pozostają otwarte: prof. dr. hab. Jerzy Hauziński, Leslie Brent, Ryszard Poznankowski, Marlena Zimna, Bogdan Gutkowski, Piotr Zientarski, Stanisław Gawłowski, Jacek Bromski, Janusz Kukuła i Krzysztof Rapsa.

Rozmowy-wywiady to gatunek dziennikarski, który w zaskakujący sposób komentuje naszą rzeczywistość – nasze kamienie czy słupy milowe. Powstał w XIX wieku na polskim rynku zyskując sobie szerszą popularność dopiero w okresie międzywojennym.

„Patrzac w przyszłość” to otwierająca książkę rozmowa z Aleksandrem Kwaśniewskim, który będąc prezydentem wszystkich Polaków starał się panować nad czasem terażniejszym i przyszłym w zakresie nie budzącym trwogi. Na pytanie: „Czy jakieś szczególne zdarzenia (...) które wpisałby pan na listę swoich osiągnięć?” – odpowiada:

„Ludzie z pierwszych stron gazet nie zaprojektowałyby tych zmian» gdyby nie wola, zaradność, pracowitość i gotowość poświęcenia wielu milionów Polaków (...) Patrzac na otoczenie naszego kraju, nie mam bowiem wątpliwości, że per saldo odnieśliśmy sukces.”

Nie sposób trzystusiedemdziesięciostronicowej książki omówić w krótkiej recenzji. Może więc tylko parę słów o Adamie Marszałku – to firma wydawnicza najprzedniejsza jaką znam. Ulicki wspomina o poezji, która nie cieszy się zainteresowaniem wydawców „choć zdarzają się tacy „dziwacy” jak Adam Marszałek z Torunia. Od siebie dodam tylko to, że jest w tym coś z „dziwactwa futuryzmu”. Dlatego nie będzie w tym nic dziwnego, że posłużyłem się właśnie takim, a nie innym cytatem! „W ostatnim czasie wydajemy więcej poezji z górnej półki. Dlatego zapewne ta część naszej oferty wydawniczej została dostrzeżona przez prasę, krytyków i czytelników. Uruchomiliśmy dwie serie poetyckie: „Dekadę Poetów”, której redaktorem jest prof. Janusz Kryszak (...) oraz „Lirykę Polską”, nad którą czuwa znany warszawski poeta średniego pokolenia Marek Wawrzkiwicz. Obaj ci panowie gwarantują wysoki poziom tomików tam publikowanych”.

Z wydawnictwa Adam Marszałek przenieśli się do Świątyni Literatury na Krakowskie Przedmieście w Warszawie, gdzie wieloletni prezes Związku Literatów Polskich Piotr Kuncewicz, który zdumiewał umiejętnością dawania sobie rady w najcięższych warunkach i znoszenia trudów bez sarkania i skarg. I który przez wiele lat pracował – jak najbardziej od siebie wymagający klasyki tak mówił o swej postawie wobec literatury: „Literatura XIX i początku XX wieku – ta „wzdychająca” do wolności jest czytana do tej chwili (...) No więc, właśnie. Moim zdaniem okres Polski Ludowej, niezależnie od tego, czy był salceson, czy niczego nie było, był jednym z okresów „dobrych lat” literatury polskiej, w ogóle – kultury polskiej, bo nie odnosi się to tylko do literatury, a i do muzyki, filmu, teatru, plastyki – bo wszystko to rozkwitało!”

Marek Wawrzkiwicz na pytanie: „co budziło tę poetycką iluminację, która nakazuje pisać stan ducha?” – udziela zgoła lapidarniej odpowiedzi: „Poeta wierzy, że ktoś uzna jego strofy za swoje. Taką wiarę miał Iwaszkiewicz, który chciał, żeby napisany przez niego wiersz nie był jego wierszem, lecz wierszem wszystkich ludzi”.

Waław Sadkowski kierujący niegdyś „Literaturą na świecie” wypowiada się w kwestii „dotyczących warsztatu współczesnej krytyki literackiej”: „Narzuca się nam mianowicie zabójcze w gruncie rzeczy dla sztuki iunetim, między twórcą a jego dziełem, między wyznawaniem (albo deklarowanym) przez autora poglądem na świat, systemem jego norm etycznych a treścią oraz wartością jego dzieła. W praktyce rodzi to całe piramidy – wieszczom (na przykład Mickiewiczowi) wybacza się zachowania, za które innych, pomniejszych twórców poddawano by umiłowaniem przez niektórych zabiegom egzorcystycznym”.

Krzysztof Gąsiorowski o sobie: „On (ten Gąsiorowski, ten ja, albo ten nie-ja; nie wiem, który jest którym) miał, z różnych powodów, raczej trudne ze sobą życie. Już od dzieciństwa. Rzadkie chwile satysfakcji. Ale nawet wtedy z nimi się nie do końca identyfikowałem. Zazwyczaj musiałem tego Gąsiorowskiego wspierać. Starałem się, aby się nie zadrgał. Ale z drugiej strony starałem się nie wyzywać

udręki. Coś jak napisało mi się w pewnym wierszu, musiałem jednak mieć. Gdyby nie ból, pisał Gombrowicz, życie byłoby pustynią. Jestem przekonany, że bez poezji nie dałbym sobie ze sobą i z Gąsiorowskim rady (bez wódki też, ale to osobny temat).

O Romanie Śliwoniku napisał przed laty w „grach krytycznych” Jan Marx: „Jednym z takich niedopieczonych przez krytykę poetów, do czasu ukazania się euforycznego szkicu Alfreda Łaszowskiego, był Roman Śliwonik. (...) W sferze filozoficznej i egzystencjalnej motywami nadrzędnymi są destrukcja, rozkład, katastrofa, a w sferze moralnej zwątpienie, pustka i gorycz”. Ulicki cytuje wypowiedź poety: „pisarz powinien żyć długo, zmarli są szybko zapomniani.” Na szczęście żył długo – możliwie najpełniej. Myślę, że można tu mówić o poetyckiej filozofii istnienia. Bo jakże nie pragnąć egzystencji, w której człowiek zanurza się jak w zwierciadle nadziei, prawdy, miłości i wiary. Wiele sensów wyjmuję z wypowiedzi Romana – dramat istnienia rozpoczyna się zwykle wraz z erupcją biologii i zmysłów: „Od początku chciałem pisać wiersze, jakie sobie wyobrażałem. W literaturze najważniejszą sprawą jest prawda. (...) Gównu kogoś obchodzi, co robiłem przedtem, a również i potem. Nie uznaję wywiadów biograficznych, bo w innych warunkach kształtował się i pisał Musil, Faulkner, Szekspir czy Ryszard Ulicki. Są sfery przeżyć intymnych, o których nawet najodważniejsi krępiją się pisać. Zasłaniają się nieudaną metaforą, kamuflażem.” Roman Śliwonik uznany za poetę wybitnego „kto wie czy nie był najlepszym poetą współczesnym”, zmarł 22 września 2012 roku.

Dwa miesiące wcześniej odszedł od nas wybitny poeta, krytyk, encyklopedysta literacki Andrzej K. Waśkiewicz. W 2006 roku przeprowadziłem z nim wywiad również w „Miesięczniku” zadając mu pytanie, które było „motorem” jego istnienia, co go niejako utrzymywało przy życiu, zarazem godząc w niego bezpośrednio: „Nie wiesz, co piszesz?” Odpowiedział: „Gdybym wiedział, pewnie bym nie pisał. O tym czym jestem, dowiaduję się z wierszy. Chyba po to je piszę, bo nie mam ani świadomości, że zmienię świat i ludzi, ani przekonania, że przez nie zmienię swą sytuację, stanę się np. pięknym i bogatym. Mam raczej wątłą nadzieję, że przez nie dowiem się czegoś o sobie i świecie i że ta wiedza może komuś wydać się interesująca i przydatna, choćby jako świadectwo, być może omyłnego, przeżycia i doświadczenia. Mam nadzieję – choćby w pewnym stopniu – niepowtarzalnego”.

...zwykle wyznania pisarzy – może przyjmować należy: „cum grano salis”. Nie zmienimy faktu, że piszący różnią się talentem, wiedzą, wykształceniem, lotnością, odpowiedzią na to co nazywamy koniunkturalizmem. Autor „Ludzi jak kamienie milowe” pozostanie mistrzem wtajemniczenia w powikłane sprawy polskiego losu – wychodząc przy tym jak już wspominałem (wcale nie intuicyjnie) z założeń egzystencjalizmu (chrześcijaństwo ustosunkowują się do świata nadprzyrodzonego) Ulicki do doczesności...

ANDRZEJ GNAROWSKI

Ryszard Ulicki, „Ludzie jak kamienie milowe”. Wydawnictwo Adam Marszałek Toruń 2013.

Filozofia codzienności (89)



Uznając, że jesteśmy istotami wolnymi, powinniśmy mieć szacunek dla wolnej, pozbawionej nacisków decyzji każdego.

Nadużycia lekarzy i pielęgniarzy – dodam – są możliwe również w warunkach zakazu eutanazji.

O eutanazji często dyskutują ci, którzy nie mają dostatecznie rozwiniętej wyobraźni, wrażliwości, uczuciowości, by móc postawić siebie w sytuacji człowieka pragnącego zakończyć życie. Należy odnosić się z szacunkiem dla tych, którzy wbrew instynktowi samozachowawczemu domagają się, by zastosować wobec nich procedurę eutanazji.

Fakt naszego urodzenia się jest przejawem zniewolenia, na co zwrócił uwagę Sartre w XX wieku. Mianowicie, nikt nie pytał nas o to, czy chcemy przyjść na świat. Dlaczego więc nie mielibyśmy w sytuacjach skrajnych sami decydować o sposobie odejścia z naszej planety.

Odrębnym zagadnieniem są rozstrzygnięcia natury technicznej, na temat sposobu przeprowadzania eutanazji i kontroli osób wyselekcjonowanych do jej przeprowadzania. Projekt ustawy o eutanazji został przygotowany przeze mnie w senacie RP V kadencji, ale nie było sił politycznych skłonnych skierować go do legislacji.

WSKAZANIA DLA ETYKI XX WIEKU

Człowiek a ludzkość, zwierzęta i kosmos

Była mowa o tym, że nie ma etyki uniwersalnej, mimo pragnień wielu przedstawicieli ludzkości. A więc nie ma takich poglądów etycznych na które zgodziłaby się cała ludzkość. Nawet wartość życia człowieka nie może być za taką uznana, skoro prowadzi się wojny w sposób legalny i fakt ich prowadzenia, dopóki jakieś państwo zwycięża, nie budzi w tymże państwie dostatecznie silnych protestów społeczeństwa. Terroryzm także jest dowodem tego, że są wartości wyższe dla pewnych kręgów od życia jednostek. Słynni byli w czasie ostatniej wojny kamikadze i fakt ich zachowań także jest ilustracją, że nie ma w skali naszego globu zgody na uznanie życia człowieka jako wartości fundamentalnej.

Wybitny polski myśliciel i zarazem lekarz, profesor Julian Aleksandrowicz, wypowiedział znamienne słowa: pokój jest dla ludzkości tym, czym zdrowie dla pojedynczego człowieka.

Wciąż jednak są chętni do zabijania ludzi w majestacie prawa. Mam tu na myśli nie tylko to, że są ochotnicy zgłaszający się do udziału w wojnach, które aktualnie się prowadzi. Biorę także pod uwagę karę śmierci, która nie znikła jeszcze ze wszystkich możliwych kodeksów karnych. Legalne zabijanie w tych dwóch postaciach pozostaje w logicznej sprzeczności z obyczajowym wzburzeniem w wielu państwach wobec chęci wprowadzenia do ustawodawstwa prawa do eutanazji.

Absurdalne jest zgorzienie moralistów pragnących zakazać kilku, czy kilkunastu osobom rocznie prawa do eutanazji i jednocześnie przyzwolenie nawet kręgów religijnych na zabijanie człowieka przez człowieka na wojnie. Z tego powodu, że dotąd towarzyszą one ludzkości przez tyle wieków, nie wynika, że tak powinno być. Trzeba przy tym zastanowić się nad tym, że prawo do eutanazji odnosiłoby się do całego procentu ludzi cierpiących z rozmaitych powodów i pragnących umierać w określonym miejscu i czasie, nie zaś w przypadkowych okolicznościach. Niepokojące jest, że mimo doświadczeń ostatniej wojny światowej i trwających po niej wojen, nie wytworzył się silny ruch pacyfistyczny. A coraz łatwiej jest zabijać, bowiem nie walczy się oko w oko z wrogiem, lecz stosuje się środki masowego rażenia, które ułatwiają zabijanie, skoro odbywa się ono poprzez naciśnięcie jakichś guzików.

Upadek moralny ludzkości doprowadził do tego, że część osób spośród tych, którzy składają przysięgę Hipokratesa i mają obowiązek ratowania ludzkiego życia i zdrowia, jest zainteresowana, by toczyły się wojny. Mam na myśli przede wszystkim firmy farmaceutyczne, które odnoszą wielkie korzyści materialne w czasie wojen. Następuje wzrost produkcji rozmaitych leków, jak również na przykład bandaży i środków dezynfekujących.

Nie wytworzyło się moralne oburzenie, a przejawy takowego napotykać, by podać inny przykład, kobiety które decydują się z racji istotnych powodów na przerywanie ciąży.

W Polsce od dwudziestu lat brakuje właściwej opieki zdrowotnej dla ludzi biednych i sędziwych. Z tego powodu wiele osób umiera, chociaż mogłoby żyć nadal. Także groźne bywają dla życia i zdrowia uwikłania płynące z ulegania sugestijnym reklamom leków. Jest sprawą moralnie naganną zezwalanie na reklamowanie leków, a nawet udzielanie w wybranych aptekach nagród materialnych tym, którzy kupują dużo leków. Reklamy, zwłaszcza telewizyjne, są szczególnie natarczywe i sugerują konieczność nabywania leków oraz rozmaitych szczepionek. Poglądy przeciwstawne, pozostające w opozycji do brania rozmaitych leków nie są dopuszczane. Nieetyczne jest także ośmieszanie bioenergoterapii oraz metod homeopatycznych w leczeniu.

Równoległe do braku troski o życie i zdrowie ludzi sędziwych zaznacza się, jak wspomniałam, ostry protest – w ciągu ostatnich lat – przeciwko prawu do przerywania ciąży. Trzeba zaznaczyć, że embrion nie jest – jak to głosi język propagandy – „dzieckiem nienarodzonym”. Nie ma dzieci nienarodzonych, podobnie jak nie ma nieupieczzonego chleba, czy dnia, który jeszcze nie nadszedł. Można być przeciw-

nikiem przerywania ciąży, ale nie uprawnia to do manipulacji świadomością przy pomocy języka. Dodam dla rozważenia – bo pogląd ten jest przemilczany – że teolog katolicki i filozof przyrody ks. Kazimierz Klószak twierdzi w swoich dziełach, że Bóg tchnie duszę w momencie rodzenia się. Jest to ponadto konkluzja pozwalająca na pogodzenie teorii ewolucji z dogmatem nieśmiertelnej duszy. Moralnie wątpliwa jest troska o nienarodzonych i pragnących eutanazji w zestawieniu z brakiem staranności wobec żywych i zdrowych, których wysyła się na wojnę troszcząc się jedynie o to, by mieli kapłanów.

Mills, amerykański socjolog, przewidywał po drugiej wojnie światowej powstanie międzynarodowych elit złożonych z uczonych i artystów, przepojonych duchem pokoju. Ta międzynarodowa więź elit mogłaby, jak przewidywał, doprowadzić do stanu pokoju, którego ludzkość powinna była pragnąć po zbrodniach ostatniej wojny światowej. Ale nawet holocaust nie wyrugował antysemityzmu. Pogromy w Polsce, wkrótce po zakończeniu ostatniej wojny światowej, miały miejsce m.in. w Kielcach. Żydów jest obecnie w Polsce bardzo mało, ale zdaniem wielu za bezrobocie, biedę i przestępczość odpowiadają właśnie oni. Ten mit Żyda, człowieka o negatywnych cechach, ukształtował się jako rezultat antysemityzmu minionych setek lat. Przyczyniło się także do tego zrzucanie na naród żydowski odpowiedzialności za ukrzyżowanie Chrystusa.

Dzisiejszy antysemityzm wyraża się w nazywaniu Żydami tych, którzy budzą niechęć, źle rządzą, są nieuczciwi, sprzedajni. Większość z nas nie chce pogodzić się z tym, że to rodacy mogą źle rządzić, ulegać korupcji, czy tworzyć niesprawiedliwe przepisy prawne. Każdy naród, w tym Polacy, zdolni są nie tylko do czynów bohaterskich, ale również podłych. Udając, że nie ma w Polsce antysemityzmu – hodujemy go w zaciszu domowym. Należałoby wykluczyć z obowiązującego zestawu lektur szkolnych te, które nasycają świadomość dzieci i młodzieży niechęcią i nienawiścią do innych narodów. Życzliwość to nakaz moralny, możliwy do przyjęcia przez każdego człowieka, niezależnie od jego własnych poglądów moralnych, skoro żyjemy w epoce globalizmu.

Żydzi bywają w naszej literaturze przedstawiani jako osoby tchórzliwe oraz pazerne. A jednocześnie wielbimy zasadnie twórczość Brzechwy, Leśmiana, czy Wieniawskiego. Lista nazwisk byłaby długa. Właśnie Polacy narodowości żydowskiej wnieśli wielki, twórczy wkład w naszą kulturę i wzbogacili piękno naszego języka.

Człowiek bywa pojmowany bądź jako jednostka autonomiczna, bądź jako składnik następujących grup społecznych: rodziny, społeczeństwa, korporacji, narodu, czy państwa. W naszej epoce globalizacji należy ujmować każdego z nas jako cząstkę składową całej ludzkości. Inspiratorami takiego podejścia do człowieka są stoicy, którzy sformułowali ideę braterstwa powszechnego, następnie Kant, a potem egzystencjaliści.

cdn.

Marian Łajszkowski

ANDRZEJ BARTYŃSKI

Rozmowy na globie -
człowieka o sobie**Bezwiór**

– Ach Panowie, moi Panowie! Jest siedemnasty dzień lutego roku 2014, poniedziałkowe południe. Kochany nasz Autorze, który z kielicha życia pijesz wino marzeń przy okrągłym stole w *salonie mych myśli*. Kochany nasz filozofie Panie Nietworze, który z kielicha marzeń pijesz wino życia przy okrągłym stole w *salonie mych myśli*. I ty, mój kochany Danielu Spanielu, który jako asystent swych obu mistrzów kosztujesz wino z obu kielichów przy okrągłym stole w *salonie mych myśli*. – To bursztynowy głos naszej Wiosny, błękitnookiej i złotowłosej wyrwa nas z głębokiej zadumy nad poplątaną istotą naszego świata, którą postrzegamy, widzimy, słyszymy, czujemy i doznajemy w eschatologicznych bezwiórach osobistej, publicznej i filozoficznej rzeczywistości.

W tej sytuacji muszę wyjaśnić znaczenie słowa „bezwiór”. Otóż w latach naszej licealnej młodości we Wrocławiu, mój przyjaciel Ireneusz Morawski i ja ustaliliśmy, że w naszym języku „bezwiór” oznacza brak jakichkolwiek wiórów rozumu, rozsądku, rozwagi, równowagi i oczywistej pojmawalności zdarzeń i zjawisk przyczynowo-skutkowych stanowiących czytelność i rozumienie architektury wszechbytu. Bezwiór nigdy nie jest dla wszystkich jednoznaczny. Jednych łączy i zbliża, a innych dzieli i oddala. Bo bezwiór, to bezwiór. Kiedyś był sprzedawany w drogeriach jako płyn po goleniu, albo płyn do pielęgnacji mebli.

– Ja zawsze mówię bezwiór, gdy nic innego nie przychodzi mi do głowy – wyraził swą myśl filozof Pan Nietwór.

– Jednych raduje, a drugich gnębi, przygnębia. Jednych czaruje, a drugich bulwersuje, albo zamurowuje i jednych i drugich – stwierdziła swym bursztynowym głosem

Wiosna. Ja zawsze na olimpijskim stadionie mej duszy wołam to słowo: bezwiór! bezwiór! – gdy dzieją się rzeczy niesamowite, fantastyczne i zgoła nieoczekiwane. Ach, patrzcie moi Panowie, teraz, właśnie teraz ja wołam bezwiór, bezwiór. Tylko nie osłupiejcie widząc co się dzieje. Patrzcie, popatrzcie, jak do *salonu mych myśli* przez otwarte złote drzwi poezji wchodzi nasi polscy, narodowi bohaterowie, okryci chwałą i sławą mistrzów olimpijskich, zdobywców złotych medali na XXII Olimpiadzie Igrzysk Zimowych odbywającej się w Soczi nad Morzem Czarnym, a rozpoczętej w dniu siódmego lutego br. Wchodzi Justyna Kowalczyk, narciarska biegaczka. Wchodzi Kamil Stoch, narciarski skoczek. Wchodzi Zbigniew Bródka, łyżwiarz panczenista. Trzy złote olimpijskie gwiazdy przyfrunęły do nas znad Czarnego Morza, aby opróżnić naszą biesiadę przy okrągłym stole.

– Patrzcie, popatrzcie moi Panowie. Przywitajmy tych wybrańców gwiazd z należytych honorem.

– Kochana Wiosno! – głos zabrał Daniel Spaniel – to, o czym mówisz, to co nam przedstawiasz jest wspaniałym urojeniem zasługującym na złoty medal „bezwióru”. Tutaj ich nie ma. Nie ma Justyny Kowalczyk. Nie ma Kamila Stocha. Nie ma Zbigniewa Bródki. Oni są w Soczi. Nie przyfrunęły do *salonu mych myśli*, ale jak bezwiór, to bezwiór. Czy widzisz Wiosno? Oni są. Oni są w *salonie mych myśli*, o czym sami nie wiedzą, a więc witajcie Mistrzowie i czyńcie swoją powinność przy okrągłym stole.

Stokrotnie dziękujemy za naszą nieświadomą obecność w *salonie mych myśli* – powiedziała swym sportowo-lirycznym, bardzo przyjemnym głosem Justyna i wiosenny uśmiech opróżniła jej twarz. Korzystając z tej niezwyklej okazji pragniemy zaproponować waszemu Autorowi, aby w naszym imieniu zechciał nadać swoje własne autorstwo tym tekstom, których fonetycznymi nośnikami postanowiliśmy zostać, czytając je przy okrągłym stole, co za chwilę nastąpi.

– Ja się zgadzam całkowicie – orzekł filozof Pan Nietwór.

– My też, my też – zapiszczała Wiosna w swoim i Daniela Spaniela imieniu.

Ja się zgadzam. Pomyślałem jako Autor *salonu mych myśli* i powiedziałem głośno. Ja się całkowicie zgadzam, tak jak Pan Nietwór, Wiosna i Daniel.

– Jak bezwiór, to bezwiór, czytam – powiedziała Justyna biorąc do ręki kielich marzeń.

Życie jest jak sportowiec – biegnie do mety to ciekawe skąd bierze tyle siły i ochoty dla osiągnięcia swego celu

– Jak bezwiór, to bezwiór, czytam – powiedział Zbigniew biorąc do ręki kielich marzeń.

Pomysł przyleciał do mojej głowy jak pies do budy pomysł wleciał do mojej głowy jak but do kałuży

pomysł wpadł do mojej głowy jak dyrektor do pustej szkoły

*teraz w jednym uchu coś szczeka
teraz w drugim uchu coś chlupie
a dyrektor pyta sam siebie, po co mi ta pusta szkoła?*

– Jak bezwiór, to bezwiór, czytam – powiedział Kamil biorąc do ręki kielich marzeń.

Zejdź mi z oczu powiedział niewidomy do swej ślepoty

to ty wyskocz spode mnie wesoło odpowiedziała ślepotą

*słuchajmy dobrych rad powiedział psycholog
nie ma innego wyjścia powiedział niewidomy
i wyskoczył sam z siebie na spacer z białą laską
wiersza*

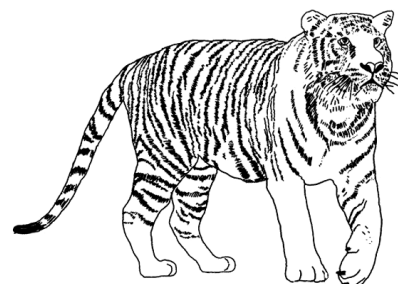
To jest poezja powiedział poeta i nie widząc innego wyjścia i wziął do ręki kielich marzeń.

– Najważniejsze są przemyślane wysoki na skoczniach naszego życia – powiedział filozof Pan Nietwór i wziął do ręki kielich marzeń.

– Jak to dobrze, że nie brakuje kielichów – powiedziała Wiosna z olimpijskim spokojem kończąc program pt. „Bezwiór w naszej teatrowizji przy okrągłym stole”.

**Monika Maciejczyk****Tygrysy**

Jasna Gwiazda
nade mną
Mrok rozprasza
gdzie Tygrysy wyobraźni
drzemią
pomiędzy nimi
czają się
te prawdziwe



POEZJA

T.S. Eliot, „Szepty nieśmiertelności. Poezje wybrane”. Przekład, wprowadzenie i komentarze: Krzysztof Boczkowski. Projekt okładki: Krzysztof Galus. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2013. Wydanie V zmienione i rozszerzone, s. 308.

Krzysztof Gruse, „Wiersze średnie”. Zdjęcia: Krzysztof Gruse. Miejskie Centrum Kultury w Bydgoszczy, Bydgoszcz 2013, s. 64.

Renata Grzeškowiak, „Na krawędzi słońca i cienia”. Redakcja, projekt okładki, zdjęcie na I stronie okładki i *Słowo o poezji*: Andrzej Dębowski. Posłowie: Tadeusz Buraczewski. Nuty do piosenek Renaty Grzeškowiak: Janusz Wierzgacz. Zdjęcie na IV stronie okładki: Adam Matuszewski. Wydawnictwo Autorskie Andrzej Dębowski, Żelów 2014, s. 78.

Tomasz Hrynac, „Przedmowa do 5 smaków”. Zdjęcie autora: Katarzyna Hrynac. Projekt graficzny serii, projekt okładki, zdjęcia: Paweł Nowakowski. Seria *Tablice*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berezyna, Szczecin+Bezrzecze 2013, s. 48.

Bogdan Jaremin, „Tam i tu. Didaskalia na marginesach”. Fotografia na I i IV stronie okładki: Tadeusz Dąbrowski. *Biblioteka Poezji i Biblioteka „Toposu”*, tom 89. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2013, s. 44.

Waldemar Kontewicz, „Wilkie branie i inne historie wierszem”. Redakcja i posłowie: Edward Zyman. Na okładce grafika: Janusza Stobińskiego. Projekt okładki: Janusz Górnicki. Zdjęcie autora: Karolina Kontewicz. Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza”, Rzeszów 2013, s. 88.

Adam Kuchta, „W śnie jesieni zaplątani...”. Grafika na okładce: Anna Zebrowski. Projekt okładki i przedmowa: Anna Strzelec. Wydawnictwo internetowe e-bookowo.pl, [bez miejsca i daty wydania], s. 60.

Mirosława Piaskowska-Majzel, „(Po)między”. Zdjęcie autorki: Zbigniew Wojciechowicz. Projekt graficzny serii, projekt okładki, zdjęcia na okładce: Paweł Nowakowski. Seria *Piętnastka 15*. Wydawnictwo FORMA, Szczecin-Bezrzecze 2013, s. 52.

Tomasz W.M. Rzepa, „Jaśminowe noce”. Seria *Dialogi Poetyckie*, tom 36. Flos Carmeli, Poznań 2013, s. 64.

Cezary Sikorski, „Według Józefa”. Opracowanie graficzne: Olga Raciborska. W książce wykorzystano fotografie autorstwa Majki Kuczary. Wydawca: Zaułek Wydawniczy *Pomyłka*, Szczecin 2014, s. 84.

Szymon Słomczyński, „Nadjeżdża”. Zdjęcie na okładce: Ada Gruszka. Projekt okładki: Wojtek Świerdzewski. Projekt typograficzny: Artur Burszta. Seria *Poezje*, tom 101. Biuro Literackie, Wrocław 2013, s. 64.

Ks. Jan Sochoń, „Wizerunek”. Fotografia autora na okładce: Paweł Sobczyk. Fotografie: ks. Jan Sochoń. Fundacja Światło Literatury, Gdańsk 2013, s. 96.

Jan Erik Vold, „Dwanaście medytacji”. Przełożył: Andrzej Słomianowski. Zdjęcie na I stronie okładki: Krzysztof Szymoniak. Fotografia autora na IV stronie okładki: Ulla Montan. Biblioteka „Toposu”, tom 90. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu”, Sopot 2013, s. 116.

Jan Wach, „Zobowiązania”. W publikacji wykorzystano linoryty Jacka Solińskiego. Opracowanie graficzne: Jan Kaja i Jacek Soliński. Galeria Autorska, Bydgoszcz 2013, s. 40.

PROZA

Robert E. Howard, „Królestwo cieni”. Wybór i tłumaczenie: Mateusz Kopacz. Wydawnictwo Agawa, Kraków 2014.

Julie Orringer, „Niewidzialny most”. Przełożyły: Agnieszka Mitraszewska i Nina Dzierżawska. Adaptacja okładki Panczakiewicz Art.Design. Seria *Smaragdowa*. Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2013, s. 752.

Fernando Pessoa, „Księga niepokoju spisana przez Bernarda Soaresa, pomocnika księgowego w Lizbonie”. Wstęp: Richard Zenith. Przełożył: Michał Lipszyc. Projekt okładki: PIO Kaliński. Na okładce linoryt 260 z serii *Zapiski*. Seria *Anachroniczna*, tom 1. Wydawnictwo LOKATOR, Kraków 2013, s. 460.

Wojciech Pestka, „Powiedźcie swoim (powieść polityczna)”. Opracowanie graficzne: Przemysław Siepski. Seria *Suma znaków*. Wydawnictwo Wysoki Zamek, Kraków 2013, s. 328.

Wojciech Piotrowski, „Wszystko jest mitem. Drobiazgi prozą”. Wydawnictwo Astra, Łódź 2013, s. 52.

Jose Saramago, „Kain”. Przełożył: Wojciech Charchalis. Opracowanie graficzne serii i projekt okładki: Zbigniew Mielnik. Fotografia na okładce: Bridgeman/FotoChannels. Seria *Mistrzowie Literatury*. Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2013, s. 168.

Sławomir Shuty, „Dziewięćdziesiąt”. Wydawnictwo Ha!art, Kraków 2013.

Andrzej Stasiuk, „Nie ma ekspresów przy złotych drogach”. Projekt okładki: Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka. Fotografia na okładce: Dennis Stock / Magnum Photos / Forum. Projekt typograficzny: Robert Oleś / D2D.PL. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2013, s. 176.

Marina Stepnova, „Kobiety Łazarza”. Przełożyła: Aleksandra Wiczorek. Projekt okładki Bożena Tokarczyk-Figas. Zdjęcie na okładce: Lilyana Karadjova, Sides of Seduction. Seria *Smaragdowa*. Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2013, s. 396.

Ferdinand von Schirach, „Przestępstwo”. Przełożył: Jakub Ekier. Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2014, s. 213.

Eric-Emmanuel Schmitt, „Tajemnica pani Ming”. Przełożył: Łukasz Müller. Wydawnictwo Znak Literanova, Kraków 2014, s. 150.

Henryk Waniek, „Notatnik i modlitewnik drogowy”. Zdjęcie autora: Johannes Golawski. Obraz na okładce i grafiki w książce: Henryk Waniek. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *Piętnastka 15*. Wydawnictwo FORMA, Szczecin-Bezrzecze 2013, s. 144.

NAUKA, KULTURA, SZTUKA

„Biłgorajskie Widnokrepi nr 2. Almanach”. Oprawa graficzna: Alicja Kubacka-Bazan i Joanna Bazan. Biłgorajskie Centrum Kultury, Biłgoraj 2013, s. 118.

Gustaw Herling-Grudziński, „Działa zebrane, t. 3 – Recenzje, szkice, rozprawy literackie 1957-1998. Felietony i komentarze z Radia Wolna Europa 1955-1967”. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2014.

Tony Judt, „Brzemie odpowiedzialności: Blum, Camus, Aron i francuski wiek dwudziesty”. Przełożył: Michał Filipczuk. Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2014.

„Kamp. Antologia Przekładów”. Redakcja: Przemysław Czapliński, Anna Mizerka. Projekt okładki i stron tytułowych: Katarzyna Nalepa. Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIWERSITAS, Kraków 2012, s. 748.

Piotr Matywiecki, „Myśli do słów. Szkice o poezji”. Zdjęcie na okładce Richard Hartt Boy Scouts Trappedon Mountain, 1957. Opracowanie graficzne: Artur Burszta. Seria *Szkice*, tom 19. Biuro Literackie, Wrocław 2013, s. 476.

Janusz Orlikowski, „Gwałt na prawdzie. Eseje i szkice”. Wstęp: prof. Ignacy S. Fiut. Projekt okładki: Damian Siwiaszczyk. Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 2014, s. 240.

Małgorzata Rejmer, „Bukareszt. Kurz i krew”. Projekt okładki: Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka. Fotografia na okładce: Andrei Pandeale. Fotografia autorki: Sławomir Klimkowski. Projekt typograficzny: Robert Oleś / D2D.PL. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2013, s. 372.

Ks. Jan Sochoń, „Poszukiwanie literatury”. Projekt okładki: Monika Trypuz. Fotografia na IV stronie okładki: Paweł Sobczyk. Wydawnictwo Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, Warszawa 2012, s. 296.

Brad Stone, „Jeff Bezos i era Amazona. Sklep w którym wszystko kupisz”. Przełożył: Grzegorz Kołodziejczyk. Wydawnictwo Albatros, Warszawa 2014, s. 512.

Arkadiusz Żychliński, „Wielkie nadzieje i dalsze rozważania”. Wydawnictwo Nauka i Innowacje, Poznań 2013.

[ad]



Szczepan Twardoch, udzielił wywiadu Michałowi Olszewskiemu dla „Tygodnika Powszechnego”, numer z 9 lutego 2014 roku:

Michał Olszewski: – „Twój wywiad dla »Wyborczej: »Te wszystkie wypindrzone dupki podobne do siebie, jakby w jednej fabryce robili, Warszawa, Kraków czy Poznań, korporacja, mieszkanko na strzeżonym osiedlu, pierdolony kotek i jego kuweta, bo na dzieci jeszcze »się nie zdecydowały«, wydaje im się, że o wszystkim decydują, takie pewne siebie, samorealizacja, samodoskonalenie i inwestowanie w siebie, a do tego ci ich, kurwa, »partnerzy«, bo to przecież nie chodzi o żaden romans, tylko właśnie »partnerzy«, wykastrowane toto zupełnie, bo się baby własnej boją nawet bardziej niż szefa w robocie – czy oni w ogóle sypiają ze sobą?». To nie jest pogarda wobec nowej wersji naszej małej stabilizacji, klasy średniej, która w bólach się rodzi?

Szczepan Twaroch: – Pogarda to za mocne słowo. Generalnie nie używam pogardy grupowo. Daj Bóg, żeby tacy ludzie byli twardym jądrem społeczeństwa – nie wyrządzają mi krzywdy. Natomiast niechęć jak najbardziej! Gra we mnie infantylna być może niechęć artysty do ludzi, w których życiu występuje element niewolnictwa, ledwie ukrytego. W pracy na etacie, w kredycie hipotecznym. Kupujesz mieszkanie w Warszawie, na strzeżonym osiedlu, za milion, dają ci służbowe auto warte stówkę, zarabiasz dwanaście, wydaje ci się, że jesteś człowiekiem sukcesu, a jednocześnie cała twoja egzystencja jest w rękach kogoś innego. Wystarczy, że szefowi spodoba się twoja żona albo ty mu się nie spodobaś, mówi ci »spierdajaj« i wszystko idzie w piach. Jeśli byłeś przezorny i to przewidziałeś, odłożyłeś pieniądze na kilka miesięcy, to może dasz radę, może znajdziesz nową pracę, a może nie...

Nie zazdrozczę nikomu takiego życia. Ja bym oszalał. Nie wiem zresztą, na ile ta rzeczywistość małego dobrobytu jest prawdziwa. To nie jest wielka iluzja? Gdy przyjdzie prawdziwy kryzys, doczekamy polskiej wersji »Gron gniewu«.

Michał Olszewski: – A co zadecydowało, że zwróciłeś się ku śląskości?

Szczepan Twaroch: – Ku niczemu nie musiałem się zwracać. Jestem Ślązakiem, bo urodziłem się Ślązakiem, bo tak mnie wychowano. Ciekawsze jest dla mnie to, dlaczego Polakiem nie zostałem, chociaż przecież mogłem, polska kultura, cokolwiek o niej powiedzieć, zachowuje jakoś swoją żywotność. Polskość z jej wielką historią bez wątpliwości jest atrakcyjniejsza niż

mała, ludowa historia małego Śląska. A jednak wolę tę małą, prowincjonalną śląskość do polskości”.

„Janusz Tazbir ogłosił w 1988 roku na łamach POLITYKI esej »Kamienie miłowe polskiej świadomości«, w którym wymienił dzieła mające największy wpływ na naszą wyobraźnię narodową. Wzburzenie znalazła się książka Aleksandra Kamińskiego »Kamienie na szaniec« – »opowieść o tragicznych, pozbawionych jakichkolwiek happy endów, losach narodowych diamentów, wystrzelonych w walce o niepodległość...«. W streszczeniu znalazło się nawiązanie do Stanisława Pigionia, który po śmierci Krzysztofa Kamila Baczyńskiego miał powiedzieć: »Cóż, należymy do narodu, którego losem jest strzelać do wrogów z diamentów« – pisze Zdzisław Pietrasik w »Polityce«, numer 10/2014.

Aleksander Kamiński pisał swą książkę w 1943 roku, relacjonował więc na gorąco wydarzenia sprzed kilku miesięcy. »Kamienie na szaniec« przedstawiają zmitologizowaną historię Szarych Szeregów, dlatego dużo w niej patosu, raczej nieznośnego dla dzisiejszego czytelnika. Wierną ekranizację trudno sobie wyobrazić.

Robert Gliński podkreśla w wywiadach, że chciał »odbrązowić« pomnikowe postaci legendy. I to mu się w dużej mierze udało. Jak głosi slogan na plakacie, filmowa wersja »Kamieni« jest opowieścią o »przyjaźni, młodości, wolności«. Zatrzymując się przy przyjaźni, wyjaśnijmy od razu, że ma ona charakter wybitnie męski, w każdym razie reżyser nie skorzystał z najnowszych odkryć badaczki Elżbiety Janickiej, która sugerowała, iż »Rudy« i »Zośka« mogli być gejami. Nic na to w filmie nie wskazuje, choć w książce istotnie można znaleźć parę naprowadzających na takie skojarzenia szczegółów, lecz to raczej kwestia czułościowego stylu Kamińskiego, nie zaś zachowań samych bohaterów.

Kiedy pokazał się projekt plakatu, pojawiły się opinie internautów, że tak samo reklamowany był »Zmierch«. Analogie są uderzające, zbliżona kompozycja, ustawienie postaci, a nawet ich wygląd. Przypomnijmy, że »Zmierch« był filmową sagą o młodych wampirach. Jeżeli więc podobieństwo jest zamierzone, można by się zastanawiać, czy twórcy świadomie nawiązują do jednego z wątków rozważań Marii Janion o wampirycznych cechach polskiego romantyzmu. Ale bardziej prawdopodobne jest inne wytłumaczenie: po prostu »Kamienie« pragną sobie wpisać we współczesną ikonografię, skojarzyć się młodemu widzowi z bohaterami popkultury.

Na ekranie oglądamy bystrych, przystojnych i inteligentnych chłopców, którzy nie są urodzonymi bohaterami. Mają »chłopacki« wdzięk, opowiadają dowcipy, robią sobie kawę, o których też już zrobiło się głośno, są subtelne i dyskretne). Nie przybierają heroicznych póz, kiedy planują akcje. Zaczynają od »małego sabotażu«, które to zajęcia traktują jak przygodę. Z czasem dopiero nauczą się zabijać, a pierwszy strzał do wroga będzie dla każdego przeżyciem traumatycznym”.

„Jeśli człowiek świadomie kieruje swoim życiem, to przez olbrzymią pracę, powoli, może się stać tym, czym od początku już jest. Nawet wbrew wyobrażeniom, jakie ma o sobie. Mam poczucie, że jestem coraz bardziej sobą. Czuję, że muszę wrócić tu, gdzie są groby mojej rodziny i moja rodzina żywa – mówi Michał Zadara, reżyser »Dziadów« Mickiewicza wystawionych po raz pierwszy w całości, w wywiadzie udzielonym Dorocie Wodeckiej dla »Gazety Wyborczej«, numer z 1-2 marca 2014 roku.

I miałem też poczucie, że to ma coś wspólnego z żydowskością, że chciałem szukać odpowiedzi na pytanie, co polskość ma wspólnego z żydowskością. To zawsze mi się wydawało kluczowe dla mojego własnego życia. Dociekanie odpowiedzi na to pytanie dotyka najważniejszych tematów: życia, śmierci, zbrodni, świadectwa, wyparcia, tożsamości, religijności.

Nie jestem Żydem, ale na studiach w Stanach niezmiennie odnajdywałem w towarzystwie wschodnioeuropejskich Żydów. I to było dość osobliwe. Siedzieliśmy w akademiku przy stole w kuchni z ludźmi z różnych amerykańskich miast i z Izraela i wszyscy wyglądali tak samo: bladzi, chudzi, z ciemnymi włosami. Rozmawialiśmy i okazywało się, że wszyscy nasi dziadkowie lub pradiadkowie mieszkali 200 kilometrów od siebie. To nie był klub przyjaźni osób pochodzenia wschodnioeuropejskiego, tak się po prostu składało. Musiałem rozwiłać tę tajemnicę, zmierzyć się z tym, skąd jestem, bo w przeciwnym razie zostałaby we mnie pustka nie do zapelnienia. Wier przyjechałem do Polski, zacząłem czytać o Polsce: Bubera, Karskiego, Grynberga, Anskiego, Singera, Döblina. Rozszarpanie polskożydowskie jest w samym sercu polskiego losu.

Matka mojego kolegi kazała mu obiecać, że nie powie nikomu, że była Żydówką. Dawniej, kiedy się upijał, nieustająco pisał do mnie o tym: wprawdzie wszystko ma i wszystko mu idzie dobrze, ale jednak nigdy nie odczuje radości bycia wśród swoich”.

[ad]

Gazeta Kulturalna Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka – miesięcznik

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543

e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący — **Andrzej Dębowski**.

Współpraca: Józef Baran, Emil Biela, Tadeusz Czemiawski, Małgorzata Dębowska, prof. Igancy S. Fiut, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Ivosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszowska, Igor Wieczorek, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.